

awo awo

d w u t y g o d n i k

numer 3 (5) rok II
dnia 5 lutego 1938
CENA 30 GR

Z czystego serca i jawnie prosimy Cię Najjaśniejszy Panie, abyś uważał nas za wiernych Twych poddanych oświadczając przytem, że stanowiąc jedną i nierozdzielalną całość z Rosją, pozostajemy, na zawsze wiernymi Twymi poddanymi, powierzając los szlachty Twemu, Najdostojniejszemu Monarcho, nieograniczonemu miłosierdziu. *Gazeta Warszawska 1863.*

Centralny Narodowy Komitet staje naprzeciw rządowi obcego, moskiewskiego, jako rzeczywisty Rząd Narodowy... Posiada podsiłkę, na której rządy rzeczywiste specywalają, to jest poparcie i uznanie Narodu, posiada tę siłę moralną, której brak nie było w Polsce.

Z'odezwy Kom. Centr. pow. stycz.

JÓZEF CYRANKIEWICZ

O AKT OSTATNI HISTORII LEGIONÓW

Czy tylko „gałązka rozmarynu“?

Obiega dziś wszystkie sceny polskie, sztuka o Legionach, Zygmunta Nowakowskiego „Gałązka rozmarynu“.

Powodzeniem cieszy się znacznie większym, aniżeli ongiś w społeczeństwie cieszyły się same Legiony. Nie śpiewa Zygmunt Nowakowski do publiczności: „Nie chcemy od was uznania!“. Śpiewa radośnie „O mój rozmarynie rozwijaj się!“.

Wymarszowi z Oleandrów 1-szej Brygady, w 1-szym obrazie, dodają rytmu entuzjastyczne oklaski. Nie tak to ongiś bywało.

Dramaturg, będący równocześnie historykiem, socjologiem, psychologiem i — trudno — satyrykiem, wspaniałą znajdzie materiał w historii Legionów.

Legiony — ich tło polityczne i społeczne, Legiony, jako niezwykle w życiu polskim wyodrębniona grupa psychiczna i socjologiczna; elementy, za którymi nie domknęły się jeszcze szufladki historii; jeszcze żywe w Rzeczypospolitej krwi obiegu, jeszcze w jej żyłach pulsujące rytmem własnym, świetny przedstawiają surowiec dla socjologa i psychologa. Niezmiernie wyrazistą tworzą grupę, wielorakimi węzłami na śmierć i życie związaną, innymi sprzecznościami szarpaną, — grupę ciekawą zarówno jako organicznym zyciem pulsującą zbiorowość, jak też, jako zespół dobitnych, charakterystycznych jednostek.

Losy tej grupy w Polsce Niepodległej, w dodatku załamane w takich czy innych, indywidualnych, (a przecież cechami legionowej zbiorowości piętnowanych), jej członków przeżyciach. Tych członków funkcje społeczne, kariery zawrotne, ale i niektórych upadki ze skały tarpejskiej, przeważnie naprawdę na podścielony przez siłą miękką materac innej pałacy.

Tych legunów służby, triumfy i klęski, marsze i zwroty, dyscyplina, bunty i kłótnie, zdrady jednych i poddania, tragiczne rozstania się i żołnierskie trwanie innych. Przeżycia jednych, którzy z całego rynsztunku zabrali ze sobą w dalszą drogę życia tylko menażki, innych, którzy zostali na twardej służbie.

Swoista tragedia grupy, której „elitarne“ wyobcowanie się ze społeczeństwa zostaje wciąż, poprzez rok 1930 (wybory brzeskie) 1935 (nowa ordynacja), 1936 (milczenie po Nowosielskach), niefortunnie pogłębiane.

Forsowne i niepotrzebne nieraz wypadki w teren, zapędzanie się na szlaki dotąd jej obce i nienawistne, poczym szybkie odwroty do punktu wyjścia.

Sytuacja oblężonej twierdzy, w

której toczy się już dyskusja o potrzebie wywieszenia białych chorągwi.

Indywidualne tragedie ludzi, przez lata odwykłych od samodzielności, przez lata totalnie wierzących i ufających, nagle równie totalnie osieroconych, na głębokiej wodzie zostawionych.

Frapujące biologicznie zjawisko całkowitej bezdzietności tej tak przecież w soki żywotne, wyposażonej grupy, rodzinne tragedie z adoptowaną młodzieżą szkoloną w „narodowych“ domach podrzytków dla sanacji. Ciekawe harce tych, niedawno do przybranych rodziców przybyłych, młodych „syntetyków“, których już, za pozegnanym Romanem Dmowskim, ogarnia nostalgia.

Smutne stąd refleksje niektórych „antykwarycznie“ usposobionych gospodarzy, którym jednak „myśleć nie kazano“, którym okrzyki protestu w obronie własnej przeszłości, wpełchnąć chciano z powrotem do gardła.

Znamienne bunty, gwałtowne protesty ludzi pamiętających wytyczony szlak, pamiętających pierwsze lekcje topografii społecznej, pierwsze lekcje o drogach do ludzkich serc.

Tragiczne chyba konfrontacje tych, którzy, symbolicznie, ongiś chłopom ziemię wojskowymi kofami orali, z tymi, którzy dziś jako kierownicy rozpędzonych aut przejeżdżają szlakiem na Munie, Harklową i Kasinkę.

Upokarzająca atmosfera, w której ludzie ofiarnego życia, tych którzy ponoszą dużą część „odpowiedzialności“ za powstanie Polski Niepodległej, o obowiązkach wobec tej Polski pouczają młodzi urzędnicy prokuratury.

Pouczające obrazki jełnych, którym tłuszcz duchowej starości zapomnieć kazał o przepięsitych drogach młodych lat, nazywających ten tłuszcz najrozmaiciej, aż po najbardziej świątobliwe zakłęcia, — innych, dalej ofiarnych ale już zmęczonych i zrezygnowanych. Piękne obrazki jeszcze inawch, z trudem dziś dopiero przypominających sobie dawne, zapomniane, bojowe, legiorowe piosenki, i najpiękniejsze sylwetki z uporem trzymających się szlaku, kiedyś w młodości wytyczonego, wymijanych przez jadących autostradą kompromisu, nieugiętych, póki ich, jak Andrzeja Struga, piorun śmierci na ziemię nie obala.

Snująca się z nimi z polskiego życia, wytrzymała, mocna, fioletowa nić, zaciskana na nich od czasu

do czasu pętła upokorzenia, biegnąca z kieleckiej katedry czasu wojny, aż po Wawel 1937 roku, nic na której zerwanie wówczas czasu szkoda było, dziś siły zabrakło.

I to całe, obsiadłe ich, dziś szukające się do odlotu, rojowisko biegnących za źródłem siły i władzy, przekrzykujące w entuzjastmie, przecięgujące w gorliwości, przeskakujące w karierach.

I te mezalianse polityczne, gierki i niektórych, niefortunnych zresztą liderów rozgryweczek, w których męski dawniej i prosty krok, nabrał sprytniej, bezpiecznie rozkołysanej chybotliwości! „raz na prawo, raz na lewo“.

To wszystko ze sobą przemieszane, krzyżujące się, kotłujące się jak marcowe pogody, — te różne elementy wydarzeń, przeżyć, nastrojów, posunięć, — tworzą całość bujnego życia tej grupy, stwarzają równocześnie niezwykle ciekawe, złożone, bogate, życia polskiego widowisko, godne — jak się rzekło — najlepszych piór historyków, psychologów, socjologów, satyryków i nawet medycznych dziś, romantycznych biografów.

Do tego złożonego zjawiska podszedł dramaturg, urwał stamtąd gałązkę wojennego rozmarynu, i obnosi ją triumfalnie po scenach teatralnych całej Polski. To mu wolno. Wolno twórcy wyodrębnić z każdego złożonego zjawiska, to co uważa za stosowne, za najbardziej reprezentatywne, symboliczne, trwałe, czy wreszcie koniunkturalnie najwyrazistsze.

Wolno też niejednemu z widzów, patrzących równocześnie na scenę teatralną i na scenę skotłowanej polskiej rzeczywistości, zapytać się samego siebie: „Czy to już tylko gałązka rozmarynu została z tego wszystkiego, co absorbowało i serce i umysł, co dawowało czyn, ale i myśl, koncepcję, plan, odmierzony marzeniem, z tego wszystkiego, co tworzy legendę, wciąż żywą jeszcze, dziś w konfrontacji z rzeczywistością żywą może niż kiedykolwiek, legendę Legionów?“

Nie gałązkę rozmarynu tylko, jako najwyrazistszy symbol, wynieść można z tego „parku narodowego“, z tego psychicznego, uczuciowego (ale nie politycznego), rezerwatu 1914 roku, zwłaszcza gdy nie o sztukę teatralną chodzi, lecz o życie polskie.

Bo i w tym życiu dzieje się tak jak na teatralnej scenie. Nie pisarz bowiem sceniczny, ale czynny działacz polityczny, młodego pokolenia, jeden z tych „adoptowanych“ też tylko gałązkę rozmarynu w Legionach dojrzał i pobiegł z nią corychlej do Romana Dmowskiego: „Masz, czego Tobie nigdy nie stało. Przynoszę ci czyn, ramię żołnierskie, reszta tam nic nie warta, twoją niech będzie głowa i

myśl. Stań się polska syntezą!... Nie chce się jakoś przyjąć gałązka rozmarynu, przemocą zaszadana w kamienisty, pełny powyrwany brukowych głazów, pogubionych łomów i zyletek, porzobijanego szkła, Kercelek „narodowego przełomu“.

Przyczyny niepowodzenia

Dlaczegoż to tych „syntetyków“ spotkało niepowodzenie?

Dlaczegoż to z jednej strony wystarczyło totalistycznie dmuchać tylko, aby momentalnie, w gnanej strachem ewolucji, cały lotny piasek czwartych brygad przesyłał się na „tamtą“ stronę?

A dlaczego równocześnie nie udało się niefortunnym ogrodnikom, przesadzić tam legionowej gałązki rozmarynu, dlaczego narodziło to na taki opór mas legionowo-peowiackich.

Jasne. Przecież ruch zbrojny Legionów nie wyrósł sam ze siebie, z jakiejś oderwanej tęsknoty do szabliki jako takiej. Legiony nie tylko w płaszczyźnie militarnej, ale w płaszczyźnie określonej koncepcji polityczno-społecznej były kontynuacją niepodległościowych walk 1863 i 1905 roku, i z tego samego wyrastały specyficzne klimatu, który poprzez wszystkie te lata etapów zogniskował się w hasło: „Wolność i Lud!“

Ruch wyzwolenczy emanował z siebie w momentach politycznie dobrze wyczułych (wojny rosyjsko-japońska, zbliżanie się wojny światowej) czyn zbrojny, jako narzędzie realizacji swych celów.

To oparcie postulatu niepodległości o aspekty społeczne dostarczyło Legionom szerokiej bazy nastrojów, ono myśl o walce zbrojnej przyoblecło ciałem żołnierza ochotnika.

Przez to „ramię zbrojne“, przepływała, rzecz prosta, ta sama krew czerwona, co przez cały organizm, przez cały system określonej koncepcji polityczno-społecznej, której na imię było: Polska Ludowa.

W poszukiwaniu własnych ścieżek

Jednak wspólne walk orężnych przeżycia, wspólne umiłowanie przez żołnierzy swego Wodza, uczyniły z tego ramienia zbrojnego pewną odrębną, zrozumiałą socjologicznie całość, one ułatwiły znacznie później dokonaną ambitną amputację.

Nastąpiło więc pewnego rodzaju zautonomizowanie ideowe Legionów w stosunku do pnia macierzystego, głównie dzięki indywidualności Józefa Piłsudskiego.

Zautonomizowanie to pogłębiające się coraz bardziej, doprowadziło później do amputacji ideowej tego „ramienia zbrojnego“, od

całości. Zaczęło się to po maju, gdzieś od Nieświeża i Dzikowa, trwało poprzez Brześć w lata następne.

Nastąpiły wysiłki (przede wszystkim Adam Skwarczyński) stania się odrębnym organizmem światopoglądowym. Jednak całkowicie, jednolitej a odrębnej koncepcji rozwiązującej tymi czy innymi sposobami całość zagadnień Rzeczypospolitej, nie zdołano w tej specyficznej, na sentymencie i zaufania do Wodza opartej, grupie wytworzyć. Z porzuconej dużo zapomniano. Nowej nie stworzono. W borykaniu się z codziennością, wiele istotnych, podstawowych rozwiązań zagubiono. Zagubionych, szukano aż w emigracji. (Wystarczy wskazać na znamienne ewolucje poglądów w zagadnieniach mniejszościowców, w szczególności ukraińskich).

Nie darmo mówiło się i mówi o bezprogramowym chaosie w sarnacji, tyłoma sprzecznościami miananej.

Bezprogramowość łączyła osoba Wodza. Programem, ideologią był Józef Piłsudski.

(Ciąg dalszy na str. 2-giej)

Sąd Okręgowy w Krakowie Wydział IV Karny Dnia 25/1 1938 Sygn IV Pr. 34/38

Sąd Okręgowy, Wydział IV Karny w Krakowie na posiedzeniu niejawnym w dniu dzisiejszym po wysłuchaniu wniosku Prokuratora Sądu Okręgowego w Krakowie wydał następujące postanowienie: 1) Zatwierdza się po myśli §§ 489 493 austr. proc. karn. zarządzoną i wykonaną przez Starostwo Grodzkie w Krakowie dnia 18 stycznia konfiskatę czasopisma „Albo-Albo“ Nr 2 (4) z daty 20 stycznia 1938 z powodu treści: 1) artykułu zamieszczonego na stronie 2 p. t. „Na Sejm Chłopski“ w ustępie od słów „aluzja ta“ do słów „ciąg dalszy“ — albowiem treść tego artykułu zawiera znamiona z art. 154 i 170 kk. — 2) artykułu zamieszczonego na stronie 4 p. t. „Snujemy więc analogie“ w ustępie od słów „jak to“ — albowiem treść tego artykułu zawiera znamiona przestępstwa z art. 108 kk. — 3) artykułu zamieszczonego na stronie 5 p. t. „W walce o sądy przysięgłych“ w ustępie od słów „Byłoby raczej“ do słów „o przestępstwa polityczne“ — albowiem treść tego artykułu zawiera znamiona przestępstwa z art. 170 kk. — 4) artykułu zamieszczonego na stronie 7 p. t. „W skrótkach“ od słów „Parlament zostanie“ do słów „dotychczas konstytucyjną“ — albowiem treść tego artykułu zawiera znamiona przestępstwa z art. 108 kk. — II) Zakazuje się dalszego rozszerzania skonfiskowanej treści powyższych artykułów, a zakaz ten ma być ogłoszony w przepisanej formie w najbliższym numerze czasopisma „Albo-Albo“ i w Dzienniku Urzędowym. — III) Cały nakład skonfiskowanego druku ma być zniszczony. Protokolant Przewodniczący Wydz. IV. sekr. Czubin Dr. Krupiński

CO SIĘ DZIEJE Z KAROLEM OSSIETZKYM?

Sprawa Karola Ossietzky'ego znajduje się obecnie w fazie trzeciej, najtragiczniejszej i najbardziej cynicznie urągającej sumieniu europejskiej kultury.

Pierwszą fazą tej sprawy była ofiarna i odważna działalność Karola Ossietzky'ego, który już w latach 1920-23 prowadził wielką akcję pod hasłem „Nie wieder Krieg”. Jako sekretarz Deutschen Friedenschaft w Berlinie, potem jako współpracownik „Berliner Volkszeitung”, „Montags-Morgen” i „Tage-Buch” a w końcu jako czołowy publicysta i redaktor naczelny „Weltbühne” nie tylko piórem walczył o pokój, lecz w walce tej nie oszczędził także przed żadną ofiarą. Proces w r. 1925 o zamieszczenie artykułu Bertolda Jacoba w sprawie mordów kapitulacyjnych, popełnionych przez „Czarną Reichswehrę”; proces w r. 1929 o zamieszczenie rewelacji Waltera Kreisera

o „Oddziale M.”, proces o zamieszczenie wspomnień wojennych Kurta Tucholskiego; wyroki i więzienia — oto były Ossietzky'ego szkarłatne wyrogi. A mówiąc o tym, trzeba podkreślić, że ani razu nie szukał wykrętów, ani razu nie powoływał się na swoją „nieświadomość” i nie udawał „z głupia franta”. — „Nie jesteśmy obrazoburcami — wywoziliśmy przed sądem — ale uważamy za konieczne używać jasnej mowy”. Gdy w grudniu 1932 namawiano go do wyjazdu w góry (był wyczerpany więzieniem), odpowiedział: „W tych czasach nie mogę wyjechać”. I rzucił się w wir walki, z większą jeszcze niż dotąd energią.

Po dojściu Hitlera do władzy, dostał się Ossietzky do obozu koncentracyjnego będącego w Trzeciej Rzeszy udziałem tych wszystkich, którzy ani siebie,

ani idei przez siebie wyznawanych, zdradzić nie chcieli. I teraz zaczęła się „sprawa” Ossietzky'ego faza druga. W obozie dręczony był wyszukanymi sposobami. Dla nas bolesny jest przede wszystkim jeden szczegół: Karol Ossietzky dążył wszystkimi siłami do porozumienia z Polską wówczas, gdy w Niemczech działalność taka nie była dyktowana koniunkturalnym nakazem rządu. Za to właśnie przebywając w obozie koncentracyjnym z woli dzisiejszych „przyjaciół” Polski, maltretowany przez kacyków i lokajów więziennych, słyszał bezustannie: „Du polnische San verrecke endlich!”, podczas był bity i — dosłownie — deptany.

Nie zapomniano natomiast o jego wielkich zasługach i o męskim jego bohaterstwie w środowiskach niegleichschaltowanych. Pojawily się w jego sprawie ar-

tykuły, wywiady i oświadczenia najwybitniejszych społeczników, pisarzy i uczonych. Nastąpiły rezolucje zjazdów i związków kulturalnych, uniwersytetów i zgromadzeń. Pisał o nim Herman Budziński i Andre Germain, Kurt Grossmann i Waldemar Grimm, Henryk Mann i Tomasz Mann, Erick Mühsam i Helmut von Gerlach, Heinz Pol i Gaston Moch, Romain Rolland i Arnold Zweig, Peter Kast i Nico Rost, Upton Sinclair, Wickham Steed oraz legion innych pisarzy. Przedstawiono K. Ossietzky'ego do nagrody pokojowej Nobla. Panowało przy tym jednomyślne prawie przekonanie, że nikt jak on na nagrodę tę nie zasłużył. Trzecia Rzesza robiła jednak wszystko co mogła, by do przyznania mu tej nagrody nie dopuścić.

Szantażowano małą Szwecję, zmuszając różne osobistości do karkołomnych sofizmów i źle ukrywanej obłudy. Na szczęście były to tylko enuncjacje „męźków stanu”. Natomiast gdy w historycznym ataku na męczennika walki o pokój wystąpił literat — Hamsun, zewsząd podniósł się głos oburzenia. Nie tylko Henryk Mann, nie tylko Nordahl Grieg i nie tylko cały szereg innych wybitnych pisarzy dało mu należyty odprawę, lecz zareagowali również czytelnicy. Wielbiciele Knuta Hamsuna odsyłałi mu gromadnie jego własne książki, protestując w ten sposób przeciwko pokrywaniu autorytetem zdobytych twórczością humanistyczną, nikczemnych metod raubriterów. Emeryt Hamsun chociaż był pisarzem najwyższej miary, jako autorytet moralny skończył się bezapelacyjnie i na zawsze. To też Trzeciej Rzeszy udało się przyznanie nagrody No-

bla K. Ossietzky'emu zaledwie odroczyć. Przyznano mu ją jednak przy następnych wyborach.

Odtąd zaczyna się sprawa Ossietzky'ego faza trzecia. Przebywający w obozie koncentracyjnym laureat Nobla, nie mógł jechać do Sztokholmu i podjąć nagrody. Do instytutu Nobla napływały zato podejrzone „pełnomocnictwa”. Listy, wysłane do Ossietzky'ego wracały z dopiskami: adresat nieznanym. „Nieznany” stał się więc w Niemczech człowiekiem, o którym mówił cały kulturalny świat. Dochodziły głuche wieści, że Ossietzky jest ciężko chory. Władze niemieckie „uspakajały” europejską opinię, lecz Ossietzky pozostawał nadal w ich szponach. Nikt, (oczywiście: za wyjątkiem odpowiednich, brunatnych „funkcjonariuszy”) nie wie obecnie, co się z nim dzieje, gdzie przebywa. A ponieważ nazbyt dużo było już faktów „samobójstw” w niemieckich obozach i „zastrzeżeń podczas ucieczki” i nazbyt już dużo zagadkowych „wyjaśnień”, los Ossietzky'ego budzi najwyższą troskę. Chodzi tu przy tym nie tylko o Ossietzky'ego, ale i o to jeszcze, że odbywa się przecież makabryczna tragifarsa. Seans brunatne kpiny z całego świata. Powstaje niepokojące pytanie: czy cyniczne nagrawania się brunatnych wóldarzy istotnie nie mają granic?

Świat musi się dowiedzieć, co się dzieje z Karolem Ossietzky'm. Musi zrobić wszystko, by męczennika pokoju wydobyć z macek sadystów. To nie jest nakaz polityki. To jest nakaz sumienia i naszej ludzkiej godności.

— ilian —

O akt ostatni historii Legionów

(Dokończenie ze str. 1-szej)

Śmierć Piłsudskiego stworzyła ideową próżnię.

Przestał żyć nie tylko ideolog ale i jedyny tej ideologii autentyczny interpretator. Został t. z. testament. Testament można różnie tłumaczyć.

Ideową próżnię, po brzegu wypełniła chęć nieustąpienia, przetrwania. Ideologią nie stały się, nie mogły się stać ani totalistyczne, no-elitarne koncepcje „Zaczynu”, ani bezprogramowe frazesy t. zw. „państwoców”, ani porzucone już pomysły, opuszczonego p. Sławka.

Za ideologię tymbardziej nie mogły starczyć zupełnie już bezideowe gierki niektórych leaderów — bez obłonek obliczone na li tylko, za wszelką cenę utrzymanie się przy władzy.

Dlatego niewiele z tego przetrzało do osieroconych mas legionowych, nie mówiąc już o reszcie społeczeństwa, dlatego trzeba było pójść na jakąś wielką próbę, na „bój ostatni”.

Ta „wielka próba” miała być deklaracją płk. Koca.

W niedługim czasie przyszły konsekwencje. Próbowali je wyciągnąć młodzi za starych, odważniejsi w myśleniu za obłudnych. Przyszły wiadome próby „syntetyzy”.

Ale

Można było w swoim czasie, dzięki wytworzonym przez bojowe współzycie, plus indywidualność wodza, odrębnościom psychicznym i socjologicznym, zautonomizować Legiony w stosunku do pnia macierzystego, można było przeprowadzić amputację tej grupy.

Już trudniej było w tej amputowanej grupie wytworzyć samodzielną ideologię, choćby tylko bardzo ramową.

Ale już całkowicie nie mogła się udać następna z kolei próba, przymocowania Legionów z całą ich tradycją, „młodopolskimi” śrubami do innego, obcego im zupełnie, w innym klimacie psychicznym oddychającego, inną mentalnością rządzonego organizmu politycznego, do biegunowo innej koncepcji politycznej i społecznej.

W legionowych dołach odezwała się stara kre w, ta sama, która wspólnie kiedyś przepływała przez pień macierzysty i jego emanację: Legiony.

Pomogła temu postawa polskiej demokracji.

Impas i jedyne z niego zapomniane wyjście

Powstał impas wewnętrzny, zmęczenie „góry”, tak plastycznie opisywane przez p. Składkowskiego.

Budziło się rozgoryczenie „dołów”, wyrażające się w poszukiwaniu ratunku przez grupy i grupki, na własną już rękę, w tę lub ową stronę, bez całkowitej obój koncepcji.

A koncepcja, która miała ambi-

cję skalkować nie tylko Legiony z resztą obozu pomajowego, ale i z resztą, ol bardzo dużą resztą, społeczeństwa?

Jej realizatorzy wołają w zjednoczoną ciszę: „Zjednoczymy się, jak w roku 1918 i 1920!”

A zjednoczone echo im odpowiada: „Trzeba ukazać cel, tak jasny jak wtedy, prawdziwy cel zjednoczenia. Obrona Warszawy, a obrona sanacji, to dwie różne rzeczy”.

Jej realizatorzy słabą udając państwo, przeocząc, że zjednoczenie choćby 1920 roku, nie w abstrakcyjnym, — lecz przeciwnie — bardzo realnym kształcie się wyrażało, z wiadomych członów społecznych mur obronny budując.

A tymczasem oni stale i z uporem powtarzają: „Ani w prawo, ani w lewo, ani w środek!”.

W obliczu konieczności wyciągnięcia Polski z impasu realnymi środkami, oni, jak lunatycy, w metafizyczny spacer na spotkanie czwartego wymiaru, wyruszają.

Bo cięży na niektórych legionistach kompleks ich samotnictwa z lat, poprzedzających rok 1914. Ci żołnierze mają w kościach smutne nieraz marsze wojenne i nie wojenne. Czy samotne? Od prawej strony: tak. Prawa strona, po dziś dzień, jagotem wyczynianym w momentach walki, stara się wywołać złudzenie przygniatającej przewagi. Tycząca się tego obozu przypowieść Stanisława Brzozowskiego o Zydzie, idącym przez las i trzymającym w rękach dwie jarzmulki, aby się w oczach przeciwnika zwiolokrotnić, nie straciła na swej porównawczej prawdziwie.

Wielu wskutek tego jagotu zapomniało, że cały ten ich marsz do Polski Niepodległej był wspólny z polskimi ludowymi masami.

Więcej; że ich marsz bojowy był pochodną, był emanacją marszu ludowego. Ze bluzy strzeleckiej, trudno, to nie jest frazes, na robotnicze i chłopskie wdżiane były ramiona.

I jeżeli można pozwolić sobie na tak nadużywany do różnych małych interesów, patos, to to jest właśnie

żywa legenda Polski.

Czy ta legenda ma być tylko pieszczotliwym wspomnieniem, czy zawsze i w czyim interesie ma być fałszowaną korekturą, że to było dawniej, a dziś robotnicy i chłopci, wzgl. ich polityczne formacje innymi kroczą drogami.

Tej żywej legendy walczących o Polskę mas chłopskich i robotniczych nie wolno dzielić dziś tylko pomiędzy archiwa Instytutu Badania Najnowszej Historii Polski i archiwa Wojskowego Biura Historycznego.

Ta żywa legenda jest przecież planem psychicznej mobilizacji na wypadek przyszłej wojny. W takim razie przenieść ją trzeba nie tylko do biur Sztabu, ale (wojna to będzie totalna!) wypadaloby ją przypomnieć na nieco szerszym terenie.

Innymi słowy, do dnia 11 listopada, manifestacji gotowości robotniczej i chłopskiej młodzieży do obrony Niepodległości, trzeba jeszcze dodać na każdy rok 364, a w roku przestępnym 365 dni, broń Boże, nie defilad przed władzami cywilnymi, ale konsekwentnego rozprowadzenia tego listopadowego symbolu na wszystkie dziedziny polskiego życia.

Ten symbol oznacza oparcie wszystkich żywotnych zagadnień Polski na jak najszerzych podstawach.

To jest droga wydobycia Polski z impasu. Nie potrafią Polski z niego wydobyć, na totalnym powrozie ciągnący naród „dynamiczni” elitaryści. Powróz się urwie. Naród z miejsca nie ruszy.

Trzeba wreszcie zrozumieć, że t. zw. umacnianie Niepodległości, pojęcie, służące dziś za schron tych, którzy lękają się szerokiej reform społecznych, to nie jest pojęcie statyczne, że nie oznacza wcale ostrożnego przystanku. Surowym nakazem utrwalenia i pogłębienia Niepodległości jest prawdziwa dynamika, wyjście ze stagnacji psychicznej i gospodarczej.

Trzeba więc ruszyć do marszu. Zadługo już dla Polski trwa ten popas, który poza tym, dla ludzi zmęczonych jest dużą pokusą.

Na dawny szlak!

Wiemy i rozumiemy, że do tego marszu wespół z Demokracją, nie uformują się dawni towarzysze broni w stare legionowe oddziały, bo straty ich, podczas tego popasu są znaczne.

Nie wszyscy przecież hasło marszu usłyszą z poza pierzyn kompromisu. Nie liczy na nich Demokracja, a i piłsudczycy przestali na nich liczyć.

Wiemy, że niektórzy odpowiedzą nam tak, jak odpowiadali starzy napoleońscy wiarusi, wołaniem listopadowej nocy.

Nikt też nie liczy i nie chce liczyć na rządzącą „elitę”, bo ta szuka tylko tych możliwości, które rządy jej przedłużają.

Nikt też nie liczy na tych, którzy misterne snują elitarne pomysły, aby tylko przepłoszyć, złowrogie dla nich widmo Demokracji.

Nikt wreszcie nie liczy na tych, którym ideologicznie osieroconym, samodzielności starczyło akurat na tyle tylko, aby ze zwiniętymi sztandarami przejść na przeciwną stronę i tam czolgać się w pokorze ekspiacji.

Wiemy jednak, bo już się to stało, że szary legun, w masie swojej olbrzymiej ci wszyscy, którzy widzą doświadczenia ostatnich lat, których boli rozsprzedawanie bogatej legionowej schedy, zmieszanie legendy z błotem pospolitości, że ci wszyscy na stary, trudny szlak wracają, że przynoszą tę swoją gałązkę rozmarnu na glebę, z której wyrosła.

To powinien być historii Legionów; AKT OSTATNI.



Rys. J. Zemanek

„Słoneczniki”

Drobnostki

Dziwny teatr

Na przedmieściu Wiednia od kilku nastu dni wisi taka kartka na drzwiach dość ubogiego teatryku: „Nie możemy przyjąć więcej niż 49 widzów na przedstawienie”. Skąd ta ograniczona liczba? Luka w austriackiej ustawie widowiskowej tłumaczy nam przyczynę. Ustawa ta, obarczająca dyrekcję całym zeszytem drakońskich przepisów i rygorów, zaczyna na działac poczynając od 50 widzów. Sala, która nie osiąga tej fatalnej liczby, wymyka się spod działania ustawy.

Zabezpieczony od ucisku podatków i cenzury, teatr ten za niezbyt wygórowaną opłatą jest w możności dostarczyć kilkunastu uprzywilejowanym przedstawienie, niemożliwe gdzieindziej.

O jednego widza więcej i cała ta podziwu godna kombinacja znika. Policja czuwa.

Pierwsza „kaczka”

Zyjemy w epoce „kaczek”. Pozostawiając na stronie „kaczki” niewinne,

dość przejrzeć pierwsze lepsze „Orędowniki” lub „Ikace”, aby się dowiedzieć, jak świat „naprawdę” wygląda, ile razy Madryt został już wzięty i jak „ulica rządzi we Francji”. Nie od razu będzie też przypomnieć historię pierwszej na świecie „kaczki”.

Wynalazcą jej jest Belg Cornélison, który postanowił dać nauczkę kłamliwym pismom. Wydrukował on w jednym z pism historię o niezwykłej żarłoczności kaczek. Zebrano oto 20 sztuk i niebawem jedna z kaczek została zjedzona razem z pierzem. Z kolei 19 pozostałych zjadło następną kaczkę i tak aż do końca, gdy ta ostatnia kaczka zakończyła przedostatnią ofiarę. A więc jedna kaczka zjadła 19 pozostałych.

Historia ta była już od dwudziestu lat zapomniana, gdy wróciła ona do Ameryki z dodatkiem sprawozdania z sekcji ostatniej kaczki, u której miano wykryć niezły kiszek! Bo w kraju wujka Sama lubią ludzie bawić się!

LEON KRUCZKOWSKI

Jasne, panie profesorze!

Kiedy kilka tygodni temu pisałem dla lwowskich „Sygnałów” artykuł o „społecznych aspektach plagiatu”, nie przypuszczałem, doprawdy, że w przeciągu krótkiego czasu metna fala naszej bieżącej publicystyki przyniesie jeszcze jedną — i to szczególnie iaskrawą — ilustrację wywodów, jakie naszkicowałem w wymienionym artykule. Nową aferą „plagiatową” spreparował tym razem profesor uniwersytetu, p. Stanisław Cywiński, z fachu — podobno — badacz literatury. Nie sądzić jednak, że swój artykuł p. t. „Jak powstał „Pociąg” Daniłowskiego”, zamieszczony w nrze 1 poznańskiej „Kultury”, napisał z podobudki i dla celów badawczo-literackich. Do licha, jest się przecież nie tylko profesorem, lecz także — endeckim! To też artykuł p. Cywińskiego, naszpikowany tąnią złośliwością, wskazuje na intencje bardzo dalekie od tych, jakie przystoją naukowcowi; a końcowa wzmianka o P. P. S. (której członkiem był niegdyś Gustaw Daniłowski) objaśnia już wyraźnie cel, dla którego p. profesor pozwolił sobie — pójść o krok dalej niż jego niedawni poprzednicy w tropieniu „plagiatorów” na beneficjach bieżącej walki politycznej: p. Mosdorf z „Prosto z mostu” i p. Hernes z „Orędownika”... Tak jest, o duży krok dalej; tamci panowie, bądź co bądź, atakowali pisarzy żyjących, a więc mogących walczyć, bronić się merytorycznie; p. Cywiński uzgodził w dobre imię pisarza zmarłego, zatem — bezbronnego. Ten smutny „postęp” jest chyba jedynym postępowaniem, na jaki można się zgodzić w obozie pp. Mosdorfów, Hernesów i Cywińskich...

Teraz — „ad rem”. „Rewelacja” p. Cywińskiego polega na „odkryciu”, że znany utwór Daniłowskiego p. t. „Pociąg” jest — „plagiatem” z nowelki niejakiego Miersa p. t. „Pociąg idzie”, zamieszczonej w r. 1893 w rosyjskim czasopiśmie „Niwa”. Streszczenie tej nowelki, dokonane przez p. profesora, oraz kilka naście par zestawionych przez niego cytat z obu utworów, wskazują, że — w istocie mamy do czynienia z dwoma dość podobnymi wątkami zdarzeniowymi, przy całej zresztą, widocznej różnicy stylistycznych sformułowań we wszystkich niemal zacytowanych wyimkach.

Ale — są jeszcze inne, bardziej istotne różnice pomiędzy obu utworami. Z relacji p. Cywińskiego wynika, że nowelka Miersa jest raczej dość blahym, czysto anegdotycznym opowiadaniem niewielkich rozmiarów; natomiast „Pociąg” Daniłowskiego to spory, półtora — arkuszowy utwór o treści głęboko symbolicznej, mianowicie społeczno-symbolicznej. W pierwszym wypadku autor nie wyszedł poza samo zdarzenie „kolejowe”: pociąg wycieczkowy z dziećmi, w pełnym biegu, „gubi” obsługę parowozu (śmiertelna bójka między maszynistą i palaczem); przed nieuchronną katastrofą ratuje małych pasażerów odwaga i przytomność umysłu człowieka, który w ostatniej chwili skacze z wiaduktu na lokomotywę; w nagrodę zyskuje serce i rękę jednej z nauczycielek. Taką jest treść nowelki Miersa. Jak wiadomo, Daniłowski rozwinął rzecz zgoda odmiennie. Analogiczne „zdarzenie kolejowe” potraktował jako rusztowanie dla właściwej, samodzielnie pomyslanej treści myślowo-ideowej „Pociągu”. Świadczy o tym najbardziej cała środkowa część jego utworu, nie mająca żadnego odpowiednika u Miersa: przejmujący, mocny

w swej symbolicznej ekspresji obraz dzieci w pędzących ku zgubie wagonach; świadczy w niemiłym stopniu samo zakończenie „Pociągu”, nic wspólnego nie mające z sentymentalnym „happy endem” nowelki, drukowanej w „Niwy”.

Tak się przedstawia „stan faktyczny” podobieństw i różnic w obu porównywanych utworach. Jakież stanowisko zajmą wobec nich poważny, rzeczowo traktujący swoją pracę badacz literatury? Oto, biorąc pod uwagę, że „Pociąg” chronologicznie jest późniejszy (pierwsze wydanie w r. 1900) od nowelki Miersa (drukowanej w r. 1893), ustaliliby dwa niżej prawdopodobne przypuszczenia: albo mogła tu działać u Daniłowskiego podświadoma reminiscencja rzeczy, dawniej przeczytanej;

albo też zaszedł wypadek świadomego przejęcia pomysłu o charakterze zdarzeniowym, fabularnym — w celu wykorzystania go dla własnej, indywidualnie pomyslanej koncepcji wewnętrzno-treściowej, ideowej.

Pierwsze z tych „albo” jest zjawiskiem bardzo zwyczajnym i znany z doświadczenia każdemu bodaj pisarzowi. Podświadomość nasza to nieprzebrany, mocny magazyn rzeczy zasłyszanych i przeczytanych kiedyś, a wypartych ze świadomości tak głęboko, że gdy po pewnym czasie któraś z nich przedrzy się z powrotem na powierzchnię — gotowi jesteśmy przysiąc, iż mamy do czynienia z całkowicie oryginalnym tworem własnego mózgu. W literaturze — tego rodzaju wpływy reminiscencyjne mogą dotyczyć nie tylko pojedynczych, oderwanych faktów i epizodów, ale niekiedy nawet większych zespołów zdarzeniowych. Wykrywanie ich

może stanowić co najwyżej ciekawą rozdział z zakresu psychologii twórczości i przedmiot dłuhaniny uczonych komparatystów — nie mają one jednak nic wspólnego z pojęciem plagiatu.

Pozostaje więc drugi wypadek: świadomego przejęcia pomysłu przez Daniłowskiego. Wprawdzie p. Cywiński tego nie udowodnił i tego wogóle nie można udowodnić, ale — przypuśćmy nawet, że tak było w istocie: czy to naprawdę uprawnia do wniosku, jakoby „Pociąg” był — plagiatem, owocem prostej „kradzieży literackiej”? Przecież — i o tym p. Cywiński wie chyba doskonale! — przecież literatura, zarówno polska jak i powszechna, zna bardzo liczne wypadki tego rodzaju „zapóżyczania” pomysłów — ba, i to przez wybitnych niejednokrotnie pisarzy! Rzecz cała w tym, co autor „pożyczający” zdoła zrobić z „pożyczoną” wersją tematycznej, anegdotycznej etc. — w jakim indywidualnym rozwinięciu i opracowaniu przekazuje ją literaturze.

W danym wypadku „pierwotny” autor: nowelka Miersa — według tego, co pisze o niej sam p. Cywiński — nie wygląda wcale na utwór literacki średniej chociażby klasy; jest raczej zwykłą felietonową robotką z gatunku tych, jakie setkami i tysiącami przynoszą codziennie w „odcinkach” gazety całego świata. Przemawiałby za tym również fakt — stwierdzony zresztą także przez samego p. Cywińskiego — że ów Miers nie figuruje w żadnym, nawet najbardziej szczegółowym leksykonie literatury, musiał to być zatem jakiś zupełnie podrzędny, mikroskopijnie mierny autor.

Co do „Pociągu” natomiast, utwór ten jest bezspornie poważną pozycją w literaturze polskiej swojego okresu. To jedno już wy-

starczy, aby uznać, iż — jeśli nawet Daniłowski świadomie przejął pomysł z Miersa, to do „pożyczki” tej tyle wniósł własnego wkładu pisarskiego, że nie o „plagiacie” może tu być mowa, lecz o istotnym, twórczym dokonaniu. Monopol na „pomysł” — jak to już powiedziałem w artykule o „społecznych aspektach plagiatu” — jest rzeczą niemoralną i szkodliwą z punktu widzenia interesów samej literatury. Miers miał „pomysł” i zrobił z niego blahostkę, która utonąła w morzu produkcji gazeciarskiej; jeśli dzisiaj przez jeden dzień mówimy o niej, to tylko — właśnie! — dzięki Daniłowskiemu, który z tego samego „pomysłu” stworzył poważny i znany utwór literacki! Oto ironia faktów, której ostrze — wydaje mi się — ugodzić może jedynie w osobę p. Cywińskiego...

Dodajmy jeszcze, że Daniłowski, jako rzekomy „plagiator” znajduje się w zupełnie przyzwoitym towarzystwie. P. Cywiński chyba dobrze zdaje sobie sprawę z tego, jak ogromną byłaby lista „plagiatorów” w literaturze światowej, gdybyśmy zechcieli taką listę zestawić zapomocą metody, przez niego zademonstrowanej na Daniłowskim — i jakie świetnie czy wybitne nazwiska znalazłyby się na tej liście: od Szekspira aż po — Sienkiewicza!

Znany krytyk muzyczny p. K. Stromenger, pisząc niedawno w „Gazecie Polskiej” o „plagiatach” i „wpływach” w muzyce, przytoczył następujące zdarzenie:

„Kiedy Brahmsowi zwracano uwagę, że temat finału jego pierwszej symfonii jest podobny do tematu „Ody do radości” Beethovena, Brahms odpowiedział: właśnie dlatego wybrałem ten temat, bo każdy osioł to zauważył...”

Gdyby Daniłowski żył dzisiaj i gdyby doniesiono mu, że został

posądzony o kradzież pomysłu z „Niwy”, mógłby doprawdy odpowiedzieć, trawestując słowa Brahmsa: ależ tak, właśnie dlatego wzięłem ten pomysł, by p. Cywiński odrazu to zauważył!

Niestety, Daniłowski już dawno nie żyje.

Na tym sprawa byłaby właściwie, pod względem merytorycznym, wyczerpana i możnaby już zamknąć niniejsze uwagi, gdyby... gdyby nie to, że — jak już wspomniałem na wstępie — p. Cywiński w wystąpieniu swoim ujawnił bardzo wyraźne intencje, dalekie od poważnej badawczo-literackiej merytoryczności. Ton artykułu p. profesora jest brzydki, niesmaczny, złośliwy. Nie czym innym, naprzykład, jak właśnie perfidną złośliwością podyktowane zostały takie oto, wstępne stwierdzenia p. Cywińskiego:

„Pociąg”, to może najlepszy utwór Daniłowskiego... Żaden utwór Daniłowskiego nie wywołał tak wielkiego wrażenia jak „Pociąg”...

I jeszcze jedno zdanie: „Pociąg” wyraźnie odbijał od pozostałej, naogół bladej twórczości Daniłowskiego i wydawał się na jej tle pewnego rodzaju zagadką”.

Te natrętne, ostentacyjne chwalebne (nieścisłe zresztą, jeśli chodzi o pozycję „Pociągu” w całokształcie twórczości Daniłowskiego) — te chwalebne odmierzone zostały judaszowo zaiste ręką! Rozumiecie jednak, w jakim celu...

Oto: „Dzisiaj zagadką rozwiązuje się całkiem prosto. „Pociąg” nie jest utworem samodzielnym ani w pomysłu ani w wykonaniu” — jest „plagiatem”!

Oto, jak się te rzeczy robi (po profesorsku? po endecku?): najpierw pocałunek judaszowy („Pociąg” „najlepszy w całej twórczości”, „wielkie wrażenie” itd.), a potem odrazu — buch! bokserski cios w szczękę; patrzcie! cóż to za twórczość, skoro najlepszy utwór jest — „plagiatem”!

Lecz p. Cywiński jest konsekwentny. Nie zaprzecza, że są u Daniłowskiego rzeczy oryginalne, własne, jak np. cała środkowa część „Pociągu”. Są, owszem — przyznaje p. profesor — ale są... „chybione”! Czyli: co oryginalne i najistotniejsze to „chybione”, kiepskie, lichy, natomiast to, co „pożyczone” z odcinka gazety — to wyłącznie jest dla p. Cywińskiego podstawą do określenia „Pociągu” mianem „najlepszego utworu Daniłowskiego”! Nie, to już coś więcej niż prosta złośliwość. To operacja myślowa, godna najbardziej przewrotnego prowincjonalnego kauzyperry.

W tym wszystkim zresztą p. Cywińskiemu — badaczowi literatury! — nie chodzi wcale ani o literaturę, ani nawet o Daniłowskiego. Artykuł jego kończy się taką uwagą:

„Widzimy więc, że pragnąc dać (w „Pociągu”) apoteozę P. P. S. jako domniemanej przyszłej wawawicielki narodu, Daniłowski uciekł się do środka niezbyt go dziwego, bo do „pożyczki” już nadto obcesowej... Ale czy istotna rola dziejowa P. P. S. nie jest warta takiej właśnie apoteozy?”

Jasne, nieprawdaż? Ohydzie jasne, do czego może służyć pióro polskiemu („narodowemu”) badaczowi literatury polskiej! Bolesnie jasne, dla jak mizernych celów zdolny jest w Polsce profesor uniwersytetu, w sposób złośliwy i daleki od rzeczowej motywacji, naruszać dobre imię zmarłego pisarza polskiego! Ależ tak! Jasne, panie profesorze!

NA MARGINESIE

Herriot mówi

Przewodniczący franc. izby Herriot wygłosił ostatnio dłuższe przemówienie, z którego najbardziej interesujące nas ustępy dotyczą sytuacji międzynarodowej.

„Sytuacja międzynarodowa, wydaje się nam niestała i kruchą. Coraz szerzej panoszą się barbarzyństwo wojny, nie uważając za potrzebne szanować prawo międzynarodowe, bardziej niż kiedykolwiek ślepe i okrutne, narażając na niebezpieczeństwo istnienie narodów, które mają śmiałość chcieć zostać panami swego przeznaczenia... „Ostatnia wojna ze wszystkimi jej poświęceniami, wywołanymi w krajach najbardziej odległych, czyż nie udowodniła, że idealizm jest silniejszy od każdego realizmu? Nie powinniśmy wyrzekać się naszej tradycji. Liga Narodów jest krytykowana, wykpiwana nie należy dołączać się do tych kpín; obowiązkiem naszym i naszych przyjaciół jest chronić ten płomień i wówczas gdy on słabnie”.

Tak myśli o pokoju i Lidze Narodów Herriot, nawet nie socjalista, a umiarkowany radykał.

A jak jest u nas?

Filia imperium rzymskiego

Bawił w Rzymie pewien japoński dziennikarz. Pryjęcie, jakie mu zgotowano, przechodziło wszystko, co czyni się w podobnych wypadkach na całym świecie — przemówienia, bankiety, toasty, wizyty i znowu bankiety. Japończykowi wszystko przypadło do gustu, nic dziwnego, odpowiadał on więc w tonie podobnym jak gospodar-

rze. Wówczas Włochi zupełnie zbaraniał i któryś z nich przy toście wypowiedział myśl, że Japonia jest... ambasadorem idei rzymskiej na wschodzie! Upzejmy Włoch nie sprzecyzował bliżej swej myśli, to też nawet od niedawna „antyfaszystowski” I. K. C. uznał za stosowne umieścić przy tych słowach wykrzyknik w nawiasie.

Słyszeliśmy o filiach różnych firm handlowych, o oddziałach fabryk i t. d. nigdy zaś nie spotykaliśmy się z koncepcją, by żółta rasa mogła reprezentować ideę starożytnego Rzymu.

Zresztą myśl Włocha była jasna, chciał on po prostu stwierdzić, że Japonia reprezentuje na wschodzie interesy międzynarodówki — faszystowskiej.

Przynajmniej tak to brzmi wyraźnie i niedwuznacznie.

Przyczyny wojny hiszpańskiej

„Istotną przyczyną anarchii hiszpańskiej było zupełne pominięcie w konstytucji hiszpańskiej izby drugiej, która — jak we Francji — mogłaby być czynnikiem równowagi i w życiu państwowym i strażnikiem zasady praworządności. Wobec braku izby drugiej o wszystkim decydowała jedynie izba poselska, która będąc wyrazem zmiennych nastrojów społeczeństwa, przerzucała się od tendencji prawicowych do tendencji lewicowych, nie zawsze respektując konstytucję i ustawy obowiązujące, co musiało w końcu doprowadzić do wojny domowej”.

Do takich „odkryć” dochodzi w ślad za b. prez. Zamorą prof. U. P. Antoni Peretiatkiewicz. A więc „praworządność”

jest gwarancją przeciw wszystkim niepokojom, przeciw „samowoli grup”...

Ze swej strony chcielibyśmy o tyle tylko sprostować opinię Sz. Profesora, że nastroje społeczeństwa hiszpańskiego nie są bynajmniej „zmiennie”, gdyż od wielu, wielu lat chce ono dwóch rzeczy — ziemi i wolności. I właśnie w chwili, gdy je uzyskało, dotychczasowi „opiekunowie” usiłują lud hiszpański pozbawić jednego i drugiego.

Nagroda pokoju

Przyznanie w swoim czasie pokojowej nagrody Nobla v. Ossietzkiemu odbiło się głośnym echem na całym świecie, nie więc dziwnego, że reakcja zechciała również wystawić swego kandydata, swego bohatera. Jest nim znany nacjonalista francuski Charles Maurras, wypuszczony niedawno z więzienia, gdzie odsiadywał karę... za groźby wymordowania lewicowych polityków i nawoływanie do przewrotu. „Zdaniem Maurrasa, pisze „Warsz. Dz. Nar.”, trzeba życzyć sobie pokoju, unikać wojny, ale nie wyrzekać się jej, z punktu widzenia narodu, takie wyrzeczenie się grozi samobójstwem”. To samo pismo podaje n. i., że dyktator Portugalii często publicznie stwierdza, że jest jako reformator uczniem Maurrasa.

Nie wszyscy ludzie mają poczucie humoru — na to trudno poradzić, szczytem natomiast nieporozumienia jest owa głupia, naiwna farsa robienia z Maurrasa „ofiary Bluma” i wystawiania kandydaty wojowniczej nacjonalisty do pokojowej nagrody Nobla.

Ossietzki i Maurras...

—oOo—

1863 — 1938

Pamięci Wielkich i pamięci karłów

Pamięci tych, którzy przeszli mękę oczekiwania, ich myśli, pracującej w ostatnią noc bezsennej, ich niezłomnemu męstwu...

Andrzej Strug

75 lat minęło od dnia wybuchu powstania styczniowego, od dnia kiedy naród przelamawszy gnuśność i wątplenie, odważnie ruszył do walki z zaborcą.

Karty jednak nie tworzą historii, są oni zaledwie cieniemi, pasorzytami, żerującymi na czynach ludzi, bo historia jest tworem ludzi, którzy pragną, którzy walczą, którzy zwyciężają. I jeśli dzieje można niekiedy nazwać wołaniem olbrzymów poprzez wieki, to niech z tamów tych wołają karty do nas, niech woła „Gazeta Warszawska” i Jędrzej Giertych — poprzez wieków przepaście — do Rządu Narodowego, do mogił powstańców, a wyjdzie na jaw prawda historyczna, ukaże się prawdziwa wielkość Rewolucji Styczniowej i rola w niej „narodowców”.

„W nocy z dn. 22 na 23 stycznia w wielu miejscach Królestwa Polskiego bandy buntowników napady na stanowiska osobno rozmieszczonych oddziałów wojska. Bandy te były uzbrojone myśliwskimi strzelbami, rewolwerami, nożami i t. p.”

„Gazeta Warszawska” 27. I. 1863 r.

„Centralny Narodowy Komitet staje naprzeciw rządowi obcego, moskiewskiego, jako rzeczywisty Rząd Narodowy i jakkolwiek nie ma wojsk i policji uzbrojonej, które najadwój dają pozory rządu, posiada za to podstawę, na której rządy rzeczywiste spoczywają, to jest poparcie i uznanie Narodu, posiada tę siłę moralną, której brak niszczy i obala rządy carów w Polsce i z której wynika wszelka siła materialna”.

Z odezwy Kom. Centr. pow. stycz.

„Jeden z oddziałów schwytał w lasach 11 ludzi... pokazuje się, że większa część zbiegów składa się z nieszczęśliwych ofiar partii czerwonej, która i w tym razie bałamuciła umysły, aby zrobić coś na kształt narodowego powstania; na szczęście, cel ten nie został bynajmniej osiągnięty; włościanie stanowczo nie mają współczucia dla ruchu, siedzą spokojnie, a w niektórych miejscach ścigają nawet zbiegów. Zawiedzione napady, dzielnie odparte przez... żołnierzy, były dla buntowników dobrą nauką. Bandy zupełnie zdemoralizowane, zaczynają, jak się zdaje, rozpraszać się”

„Gazeta Warszawska” 28. I. 1863 r.

„Rok 1863 stoi na przelomie naszych dziejów; stara Polska umiera — nowa się rodzi. Na przelomie dziejów staje epokowe zdarzenie — powstanie naszego narodu, walka orężna, długo trwająca, długo zalewająca krwią i pożogą ziemię naszą... Wyrasta mur olbrzymi, dzielący pokolenia od pokoleń, czyniąc nowe życie, zamykając stare — mur, na którym tryskają ogniem pisane cyfry 1, 8, 6, 3”.

— J. Piłsudski

„Niektóre bandy złoczyńców popełniają okrucieństwa na rolnikach, chcąc podpalaniem i mordami zmusić ich do uczestnictwa w buncie i w tym celu narucają im kosy, noże i inną broń”.

W okolicy Radomska, dla wszędzie usposobienie włościan dla Rządu jest jak najlepsze, a właściciele ziemscy bez wyjątku odmówili przyłączenia się do band buntowniczych.

„Rozbójnicy nie zastawszy (dowódcy) w domu... zadowolili się zabiciem

własnej broni... p. Krajewicza i złupili jego majątek.

„Zadawane przez wyrzutek węgierski nie doszły do najwyższego okrucieństwa, jak naprzykład: szeregowcowi Zie'enko... oderznęto język i przerznęto gardło”

„Gazeta Warszawska” 1863 r.

„Rok wielki i, zdawałoby się, wielkim będąc, zasłużyć by musiał na to, na co wielkość każda zasługuje, — na pracę historii...”

J. Piłsudski

„...Módlcie się za Cesarza... za wszystkie stany Cesarstwa... My gorąco pragniemy spokoju... niemniej od nas pragniemy spokoju i Wyższa Władza i. naczelnicy. Przedsiębiorą oni wszelkie środki, karzą winowajców powstania, żeby poskromić powstających przeciw władzy prawnej. Panowie i szlachta wynurzyli już swoją uległość; a zatem i wy dzieci moje, nie trwajcie dłużej w uporze i nie pozostawajcie w tyle za nimi w uległości Rządowi... Potem można będzie mieć nadzieję, że Wyższa zwierzchność... wierzawszy miłosiernym okiem na wygnanych, ukochanych waszych duchownych nauczycieli, pozwoli im wrócić do swoich kościołów, a nam wszystkim cieszyć się jak dawniej pomyślnością”.

(z listu pateskiego biskupa żmudzkiego Wołonczewskiego 6 września 1863).

„...nic się nie dzieje bez woli Boga. Musiała ta wola Boska być zapoznaną, kiedy Bóg dopuścił, żeby tyle bied, tyle klęsk spadło na kraj nasz zaburzony przez ludzi nieporządku. Naczelna władza... karze przestępców... lecz zarazem otwiera wrota miłosierdziu. Bezwarunkowo zdawajcie się na wolę i litość naczelnej w naszym kraju władzy... Spuście się więc zupełnie na wolę Najjaśniejszego Naszego Monarchy... pamiętajcie zawsze, że kraj nasz stanowi zawsze jedną, nierozdzielną całość z Rosją i porzućcie wszelki opór... i knowania przeciw Rządowi, a Najjaśniejszy Monarcha, któremu Bóg nas poddał, widząc w nas niezachwianą wierność... ogarnie nas... jedyną laskawością i świętą, droższą nam nad życie religii naszej wysoką swą opiekę i pomoc zapewni”.

Odezwa ta ma być przeczytaną z ambon. 17 września 1863.

Podpisali: Oficyał Prałat Antoni Zyszkowski i inni —

„Gazeta Warszawska” 1863

„Niechże więc groby ozwą się wśród was, niech mówią swoim własnym językiem — nie legendy. My wszyscy, pogrobownicy powstania, znamy chyba doskonale jedną legendę o zgodzie narodowej, o bratniej zgodzie wszystkich, o rękach, podanych ku braterskiemu uściskowi ze łzą sentymentu w oczach. Legenda, szeptała nam wszystkim z wyrzutem, legenda różanego olejku, którym nieraz rodzimy brud usiłowała przytłumić, rzucana, jak wzór, dla niegrzecznych dzieci ojczyzny. Czy odpowiadała ona prawdzie?”

J. Piłsudski

„Przywódcy stronnictwa wywrotu, wicherzenia swoje rozpoczęli zbrodniami, a podtrzymują je i roszarają coraz nowymi kłamstwami... Ludzie oświeceni i dojrzałe stosunki polityczne oceniający, nie dają się unieść tym nowym złudzeniom, ale rzemieślnicza, niedoświadczona młodzież, dając ucho z adzięckim podszeptem, jeszcze uchodzi z miast i potajemnie do band się udaje”.

„Czas już jest, aby poważna dojrzała część mieszkańców Miasta naszego, ochłonięła z trwogi rzuconej na nią przez terroryzm garstki bezimiennych kierowników tego dzieła bezrządu”.

„Ziemiaństwo całego kraju trzyma się zdala od tego ruchu: właściciele i włościanie patrzą z boleścią na zapamiętały zamach, który pozbawiony prawdziwych podstaw w narodzie, popycha kraj ku

przepaści i zniszczeniem wszelkich zarządów pomyślności mu zagraża”.

Banda Langiewicza, ścigana przez wojsko, połączywszy się z bandą pod przywództwem Jeziorańskiego, została dognaną przez wojska w dn. 26 lutego pod Wołoszczową i do szczytu rozbita”.

W szynku przy ulicy Krakowskie Przedmieście zebrało się... trzydziści osób z górą niższego stanu, po większej części z młodzieży rzemieślniczej, celem... połączenia się z bandami buntowników. Wszyscy ci ludzie zostali przez policję aresztowani”.

Wielu z (poborowych)... dało się słyszeć z oskarżeniami na wierznię ludzi bezrządu i mniemanych władz tego stronnictwa, które ich z drogi uczciwej pracy popchnęło do próżniactwa i jałowego rozmarzania... co także zgadza się z znaniami... obwinionych o buczestnicstwo w tak zwanej Organizacji Narodowej”.

„Gazeta Warszawska” 1863

„Nic mogłem się pogodzić, by małość wielkich rzeczy dokonać mogła, by samo szaleństwo, sama śmieszność zdołała zmusić, aby wielkie państwo cara, mające na swe usługi olbrzymie tysiące żołnierza, olbrzymią technikę państwową, więzienia i bazy, rok cały, całe 365 dni toczyło z wysiłkiem wojnę ze słabością i z szaleństwem. Silnym być trzeba, by się nie poddać w takiej walce, by walkę tak długo toczyć. Wielkości, gdzie twoje imię?”

J. Piłsudski

NAJDOSTOJNIEJSZY MONARCHO! Rozuchy rewolucji wciągnęły wielu ze szlachty... do naruszenia przysięgi na wierność WASZEJ CESARSKIEJ MOŚCI.

Odrzucając działania stronnictwa rewolucyjnego, z powodu którego od kilku miesięcy ziemia nasza broczy się krwią po większej części niewinnych ofiar.

Z czystego serca i jawnie prosimy Cię NAJJASNIEJSZY PANIE, abys uważał nas za wiernych Twych poddanych oświadczając przytem, że stanowiąc jedną i nierozdzielną całość z Rosją, pozostajemy na zawsze wiernymi Twymi poddanymi, powierzając los szlachty Twemu, NAJDOSTOJNIEJSZY MONARCHO, nieograniczonemu miłosierdziu”.

„Gazeta Warszawska” 1863

„Wielkości, gdzie twoje imię?”

R. 1863 dał wielkość nieznaną, wielkość, co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas, wielkość, zaprzeczającą wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy, wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, siły zbiorowej wysiłków woli, siły moralnej, — nie „treuga Dei” szui zbiorowej, nie „treuga Dei” tchórzów, lecz „treuga Dei” ludzi, którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął, rosłą w olbrzymi olbrzymiej pracy moralnej”.

J. Piłsudski

„Wczoraj... NAJJASNIEJSZY PAN przywołał wszystkich oficerów... i zwrócił się do nich z następującą przemową: (m. in.)

— Nawet po tych okrucieństwach nie chcę oskarżać całego narodu polskiego. We wszystkich tych smutnych wypadkach widzę dzieło stronnictwa rewolucyjnego, wszędzie dążące do obalenia prawnego porządku.

Jestem pewny, że... okażecie w czynie, że mogłem na was liczyć...”

Wyrazy, wyrzeczone przez NAJJASNIEJSZEGO PANA przyjęte zostały z zapalem wśród jednogłośnych hurra”.

„Gazeta Warszawska” 1863

„...wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 r. istniała, a polegała

ona na jednym może w dziejaca naszym rządzie, który, nieznanym z imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że kazdosz wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów”.

J. Piłsudski

„W dniu 13 lutego 7-miu ludźmi... najechało dziedzica... Telefora Dziedzickiego i po odczytaniu mu jakoby wyroku, odebrało życie 3-ma strzałami.

Zorodniczy ten czyn... wywołał powszechne oburzenie”.

„Gazeta Warszawska” 1863

„Lecz dla dziejów powstania 1863 r. również wielkie znaczenie ma trwoga oraz sprzeczność myśli i uczuć następnich pokoleń polskich w stosunku do swych ojców i dziadów z 1863 r., a nie ma lepszej pożytki chorobotwórczej dla bakterij fałszu i legend, jak strach przed prawdą i brak woli”.

J. Piłsudski

„...tuż przed powstaniem działali w Warszawie pruscy agenci, podburzający do ostrego wystąpienia i do chwycenia za broń... Powstanie styczniowe przyniosło namacalną korzyść Prusom. Czy przyniosło korzyść Polsce?... Ale największą klęską, jaką na nas powstanie ścigało, było osłabienie polskości na Kresach wschodnich. Doraźnym jego wynikiem było... zniweczenie nadziei na rychłe odbudowanie Polski”.

„Istnieje jeszcze jeden czynnik prócz Prus, który na powstaniu wiele zyskał. Są nim Żydzi... Z natury rzecz rolą Żydów była największa w okresie rewolucyjnym. Można powiedzieć, że w okresie tym ster wypadków spoczywał — po prostu w rękę żydowski... wyraźnie prowokacyjny charakter miały i... dużym udziałem Żydów się odbyły główne ówczesne manifestacje... Żydzi to powstanie wywołali — i występnęli Polaków, którzy się w ich akcję dali wciągnąć, na dudków”.

„Polityka tych Polaków, którzy przyłożyli rękę do wywołania powstania styczniowego, była błędna i szkodliwa.

Należało... wytworzyć ośrodek siły politycznej i państwowej polskiej na terytorium zaboru rosyjskiego — za zgodą Rosji”.

J. Giertych
1936

W maju 1935 zmuszona została „Gazeta Warszawska” przemienić się w „Warszawski Dziennik Narodowy”. Nazwa się zmieniła, treść została ta sama. W rocznicę powstania styczniowego takie oto słowa czytamy w „W. D. N.” z dnia 28. I. 1938:

Przywykliśmy uważać wszystkie narzę powstania narodowe, a powstanie Styczniowe w szczególności, za dziecinne i nieprzemysłane politycznie, a zatem pozbawione realnych szans zwycięstwa, kierowane w dodatku z zewnątrz przez ukryte, a nie wspólne z sprawą polską niemające „czerwone” sprężyny międzynarodowe, bądź za wywołane męką niewoli beznadziejne odruchy rozpacz, skazane bezwzględnie na klęskę i zagładę. Pogląd to słuszny...

Słuszny, niewątpliwie słuszny, wszak wszystko, co się dzieje w naszym kraju, odbywa się pod wpływem „czynników zewnętrznych” i „obcych agentur”. Polaków przecież nie stać na coś własnego, czyn został wymyślony przez obcych.

Poniższa myśl jest również słuszną:

Słuszną jest maksyma, że historia jest mistrzynią życia. Nie sądzimy jednak, że

nawiazywać do niej należy przy okazji rocznic narodowych wówczas, gdy myśli i uczucia powszechne nie są całkowicie zgodne. Sensem bowiem, racją bytu obchodów takich rocznic jest wzmacnianie więzów łączących Polaków w jeden naród, a nie wnoszenie pierwiastków niezgody i przyczynianie się do zamącania czystości uczuć narodowych.

Dlatego to nie uważamy za stosowne zwracanie się myślą do zagadnień politycznych, jakie stawiają przed nami dzieje powstania styczniowego.

Mimowoli przychodzą na myśl słowa Józefa Piłsudskiego o tych, którzy tak haniebnie krytykowali to powstanie, „którzy r. 1863 z pamięci, z serc chcieliby wymazać, a nad całym tym okresem wyrzyc słowo: zbrodnia”. (pisma zbiorowe, t. III, str. 141).

No tak, kochajmy się i nie przypominajmy dawnych dziejów — może uda się na nowo stworzyć legendę „treugae Dei” — pokoju bożego, jedności narodowej, może uda się przemilczeć setki lat zdrady narodu i płaszczenia się przed zaborcami.

I pisze dalej „Warszawski Dziennik Narodowy”:

W okresie przed wybuchem powstania, byli zwolennicy i przeciwnicy ruchu; wynikające stąd różnice poglądów przetrwały powstanie i istniały nadal przez lat dziesiątki...

Kontrowersja trwa jednak po dzień dzisiejszy. Jest on następstwem tego, że są w Polsce odbudowane ludzie i grupy ludzi, którzy się uważają za spadkobierców myśli i metod powstańców, czerpią więc z przeszłości uzasadnienia dla swej roli w terażniejszości...

Tak jest, są w Polsce tacy ludzie którzy walczą o ideały powstańców 1863 roku i którzy z przeszłości czerpią natchnienie i siłę do walki o lepszą przyszłość.

Lud polski nie chce i nie będzie ukrywał swej roli w dziele wyzwolenia, w dziele walk o wolność. Hańby mu ona nie przyniesie. Nie pozwoli też nikomu roli tej kwestionować, negować jego praw do spadku powstańczego i praw do roli w terażniejszości.

A jeśli wątpią o tym poprawiać historie, to niech przekonają ich słowa, którymi zakończył Józef Piłsudski odczyt swój o roku 1863.

„I gdy na sennych was uderzą strachy I gdy zbudzicie się w łożu spotniałi I usłyszycie, że drżą wasze dachy I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali — Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy

Boga pokaże i przed Nim powali (Beniowski)

— Wtedy wiedzcie: z mogił, z grobów 1863 r. żywy cień powstaje, cień wielkości epoki, cień Rządu Narodowego i wtedy mogily straszliwym zawołają głosem: — „Idź i czyń!”

Sy-l

Andrzejowi Strugowi w holdzie

„Sygnały” wydały specjalny numer, poświęcony pamięci Andrzeja Struga. Numer ten zawiera bogaty i wyczerpujący materiał o życiu, twórczości literackiej i publicystycznej, działalności politycznej, społecznej i kulturalnej, tego Wielkiego Człowieka i Wielkiego Pisarza. Zawiera nieznaną fragment z pism pośmiertnych autora „Ludzi podziemnych” i liczne fotografie z różnych okresów Jego życia.

ADAM PRÓCHNIK

ZWYCIĘSTWO W KLĘSCIE

Inicjatywa powstania styczniowego należała do czerwonych. W ich obozie znalazła swój wyraz niezłomna wola narodu polskiego odzyskania niepodległego bytu, oni reprezentowali ideę czynnej, zbrojnej walki z zaborcami. Inicjatywa ta musiała torować sobie drogę wbrew poglądom części społeczeństwa polskiego, która albo odrzucała cel, jak zbłądziła i nierealna, albo kwestionowała drogę rewolucyjną, jako beznadziejną i szaloną. Inicjatywa ta została potępiona nazajutrz po klęsce, jako szkodliwy romantyzm. Zaczęła się polityka oparta na rachunku trzeźwości. Inicjatywa ta jest dziś jeszcze potępiona przez pewien odłam polskiego społeczeństwa, jako intryga wrogich i obcych żywiołów.

A jednak inicjatywa ta uratowała Polskę. Uratowała ją mimo poniesionej klęski i mimo tragicznych konsekwencji, które naród polski musiał ponieść. Uratowała bowiem te wartości wewnętrzne, które były niezbędne, aby naród polski mógł zostać wolny. Można bez trudu udowodnić, że powstanie nie było z góry skazane na klęskę. Można wykazać, że powstanie przyniosło jako rezultat zniszczenie pozostałych strzępów narodowej autonomii, wzmocnienie akcji rusyfikacyjnej, zwiększenie nacisku represyjnego wywieranego na społeczeństwo polskie. Możliwe, że bez powstań akcja likwidowania odrębności królestwa Polskiego, unifikacji z Rosją i rusyfikacji żywiołu polskiego byłoby nieco powolniejsza, represje łagodniejsze i że Rosja osiągnęłaby te same wyniki o kilka czy kilkanaście lat później. Ale upadek narodu polskiego byłby znacznie głębszy i znacznie bardziej stanowczy. Z takiego upadku podnieść się jest bardzo trudno, czasem już wogóle podnieść się nie można. Łatwiej bowiem podnieść się z klęski, niż z stanu bezzilnej, bierności i rezygnacji. Nic nie jest bowiem w stanie obalić prawdy, że tylko walka może osiągnąć zwycięstwo. Polityka rezygnowania z wielkich celów, rzekomo nieosiągalnych, na rzecz małych osiągnięć, rzekomo realnych, jest praktyką utraty wszystkiego. I niema większego złudzenia politycznego, jak uważanie dążenia do małych celów i oszczędności wysiłków za politykę realną, a walki o wielkie cele za szaleństwo i romantyzm. Zdobywanie można bowiem sprowadzać do roli nagrody za umiarkowanie, ale są one rezultatem siły i liczenia się z siłą.

Powstanie styczniowe może być uważane za klęskę tylko wtedy, jeżeli traktujemy je jako odrębne zjawisko, jako epizod historyczny. Tymczasem powstanie było częścią procesu historycznego. Proces ten ma swój początek w dniach upadku państwowego, ciąg nie się jako żywa siła, jako najwyższy wyraz energii i dynamiki narodowej przez cały ciąg rewolucji, kończy się w naszej epoce realizacją celów. Gdyby nie było tego procesu, wszystkich jego faz i okresów, nie byłoby jego zakończenia. Powstanie w łańcuchu walk było jednym ogniwem, ale gdyby zabrakło tego ognia, łańcuch zostałby przerwany. Nie można stawiać tak sprawy, że w szeregu toczących się walk tylko ta była potrzebna i usprawiedliwiona, która przyniosła bezpośrednią realizację celów, natomiast te, w których triumfowała przewaga wroga, były zbędne i szkodliwe. Sens walk rozegranych polega na tym, że były walką, że nie były rezygnacją i biernością. Kto walkę podejmował dopiero wtedy, gdy ma zapewnione stu procentowe zwycięstwo, ten wogóle walczyć nie

będzie i z góry przegrał. Zwycięstwo jest tylko wtedy osiągalne, jeżeli nie zagaśnie i płonąć będzie wiernie, jak znicz, wola walki. Rozbrojenie wewnętrzne jest gorsze stokroć od zewnętrznych cioci. Jeżeli luk jest napięty, choćby nawet strzały chybiały istniejącej nadziei, że trafi się do celu, jeżeli ciężka wola jest odprężona, sprawa jest skończona.

I dlatego błogosławiona jest inicjatywa czerwonych. I trzeba stwierdzić fakt, trzeba oddać sprawiedliwość tym, którym się ona należy. Nigdy wysiłek narodu nie był tak wielki, jak wtedy. Nigdy czyn nie wymagał tyle energii, natężenia woli i ofiar. A jeżeli zgodzimy się na to, że z punktu widzenia celu ostatecznego, decydujące są nie bezpośrednie efekty i rezultaty, ale dynamika walki, że walkę mierzy się jej siłą wewnętrzną, będziemy musieli wysiłek wykrzesany przed siedemdziesięciu pięć laty uznać za olbrzymi. Nie było armii, którą można by pociągnąć na stronę powstania jak w 1794 i 1830 r., nie było broni, środków materialnych, pieniędzy, na świecie walk rewolucyjnych. Nie było impulsu toczących się jak w r. 1794, 1830 1848. Nie było przychylnych sytuacji międzynarodowej skłóconych i walczących z sobą państw zaborczych, jak w r. 1905 i 1917. Można tu śmiało stwierdzić: była tylko własna wola i własna siła. Nic nie sprzy-

jało i wszystko było przeciwne.

Czemu należy więc przypisać, że w takich warunkach udało się wydać bój największej potędy świata i bronić się przez półtora roku? Gdzie są źródła tej siły? Widocznie czerwoni potrafili zdobyć z narodu wielkie zasoby mocy, potrafili dotrzeć do utajonych sil potencjonalnych.

Nigdy, w żadnej poprzedniej walce podstawa akcji nie była tak szeroka. Powstanie kościuszkowskie przygotowała grupa emigrantów i garść spiskowców, pod względem zresztą ideowym nie mniej czerwonych, niż ci z 1863 r. Powstanie listopadowe było dziełem niewielkiej gromadki radykalnej, dzielnej, ale nikomu nie znanej młodzieży. Ona to narzuciła społeczeństwu walkę. W r. 1863 spisek był masowy, objął wielotysięczne masy. Tak wielka, potężna liczebnie organizacja spiskowa jest zjawiskiem w historii wprost nadzwyczajnym. To było coś więcej od spisku, to było tajne państwo polskie zorganizowane pod czujnym nadzorem władz rosyjskich. Powstanie styczniowe to nie była grupka rewolucjonistów rzucająca krąg buntu i budząca do walki uspijony lud, to było wielkie masowe poruszenie, to był akt woli wielkich rzesz ludzkich. Wyraziło się to nie tylko w niezwykłym fakcie spisku masowego,

ale również w wielkich manifestacjach, które poprzedziły powstanie.

Idea powstania dotarła do warstw ludowych. Aczkolwiek nie można jeszcze uważać powstania za rezultat świadomego, zorganizowanego poruszenia mas ludowych, jak w latach 1905 i 1917 r., to jednak warstwy ludowe zostały głęboko poruszone. Zapewne, że było to jeszcze w przededniu samodzielnego ruchu mas ludowych. Ale właśnie dlatego, że było to w przededniu, masy te wychodziły już ze stanu bierności i łatwo było je poruszyć. Powstanie styczniowe trafiło na przedwiośnie ruchu ludowego. Podobnie jak w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej nie było jeszcze samodzielnego ruchu mas ludowych, ale masy te ruszyły do walki pod sztandarem wielkich ideałów liberalnych i narodowych, rzuconych przez mieszczaństwo, aby nazajutrz po rewolucji rozpocząć swój własny ruch i stormować swój własny program walki, tak i wtedy masy ludowe w Polsce, robotnicy, rzemieślnicy, chłopki skupili się koło sztandaru powstania narodowego. Jutro sztandar ten uczynią swym własnym sztandarem, zespolą go z walką o swe najżywniejsze interesy i wezmą kierownictwo walki o niepodległość w swoje własne ręce.

Zresztą powstanie styczniowe w sprawie chłopskiej zajęło już stanowisko zupełnie zdecydowane i wysunęło program rewolucyjny. Było w tym sensie nie tylko rewolucją narodową, ale również i społeczną. Pierwszy program ruchu robotniczego wyłonił się dopiero w kilkanaście lat po powstaniu.

Ale klasa robotnicza, rzemieślnicy i robotnicy fabryczni wzięli już udział w powstaniu czynny, bardzo czynny. Nie byli jeszcze zorganizowani, nie mieli swego programu, nie stanowili jeszcze świadomej siły politycznej, byli dopiero w trakcie budzenia się ich świadomości klasowej, ale rozbudził się już w nich instynkt rewolucyjny, tak charakterystyczny dla tej masy i on zaprowadził ich w szeregi walczących.

I nic dziwnego, że potem wśród pierwszych organizatorów ruchu robotniczego i socjalistycznego w Polsce znajdzie się cały szereg dawnych uczestników i żołnierzy powstania styczniowego.

I na tym polega znaczenie powstania. Wytworzyło ono masowy ruch wśród mas ludowych, rozbudziło je do życia politycznego, uprzytomniło im ich siłę rewolucyjną. Będzie to punktem wyjścia dla powstania samodzielnego ruchu warstw pracujących. Z potrzeb tego ruchu wyłoni się program, w którym hasło walki o niepodległość oprze się na potężnych siłach, tkwiących w ludzie polskim, i zjednoczy się z jego dążeniami społecznymi i politycznymi w jedną ideę wyzwolenia.

JAN KRZESLAWSKI

W 75-tą ROCZNICĘ Czy istnieje ciągłość kultu tradycji powstańczej?

Obchodzi się dzisiaj 75-tą rocznicę powstania styczniowego w atmosferze powszechnego entuzjazmu. Wydaje się, że nie ma dwóch zdań, iż powstanie to mimo straszliwej klęski, przyniosło wielkie walory moralne, które pozwoliły narodowi przetrwać aż do chwili odzyskania niepodległości. Czasem ci i owi oponenty — przeważnie z obozu narodowo-demokratycznego — przebiegają półgębkiem, że Czesi bez powstań odzyskali niepodległość, co zresztą nie jest ścisłe, gdyż Czesi podczas wojny światowej nie zachowywali się biernie, lecz działali bardzo żywo i jednolicie, ryzykując wszystko.

Ale głosy opozycyjne nie przenikają do prasy i nic nie zamąciło nastroju uroczystego święta, gdy wszyscy słusznie czcili bezprzykładne bohaterstwo dni minionych.

Czy zawsze tak było? Czy poglądy na powstanie styczniowe w ciągu tych 75 lat nie uległy zmianie?

I z prasy i z literatury smutnego, powstaniowego okresu, ery Hučki i Apuchtina, wiemy dobrze, że nie było tak zawsze. Ludzie starszego pokolenia wiedzą o tym równie dobrze ze wspomnień swego dzieciństwa lub wczesnej młodości. Owszem, istniał pewien sentyment do starych powstańców, którzy powoli, po wielu latach naturalnie, powracali z Syberii, starano się dla nich o posady, o ich działalność jednak mówiono bardzo cicho i ogólnie, bo dopiero koło 1905 roku czyny, popełnione w 1863 roku, zostały objęte ogólną amnestią, ale przeważał pogląd, że powstanie było czynem szalonym i niebacznym, który wpędził nas w gorszą niewolę.

Przyznać również trzeba, że w okresie, gdy wyklinano powstanie wywodzone wówczas z również wyklinał powstanie nieraz przyczyniali się do szerzenia takiego poglądu. Jakże często słyszeć można było z ust człowieka, powracającego z Syberii, któremu klimat tamtejszy nie tylko odmroził nos i uszy, lecz i zamroził duszę, słowa następują-

ce: „głupstwo zrobiliśmy. Trzeba było słuchać Wielopolskiego. On był mądry i miał rację”. Tak jak gdyby Wielopolski nawet w razie udaremnienia powstania mógł dać sobie radę z potężną paetersburską reakcją, nieraz potężniejszą od carów. A młodym, zapalnym ludziom mówili sybiracy: „Chcesz brać w skórę od Moskali, to idź! Ja mam tego dosyć”.

Szukano winowajców. Najlubiejszym kozłem ofiarnym był Mierosławski. Z tego człowieka, bardzo zdolnego i ambitnego, lecz niezrównoważonego, choć ożywionego najlepszą wiarą, czyniono wcielonego diabła. On zgubił kwiat młodzieży — mówiono — przyspominając nieszczęsną bitwę pod Krzywoszczem, gdzie poległa niemal cała „kadrowka” ówczesna. Przypominano mu niektóre radykalne „powiedzonka” o szlachcie i księżach, często zresztą przekraczając jego słowa i zarzucając mu chęć rzezi, jakgdyby niefortunny pierwszy dyktator powstania miał w sobie coś z Szeli... A przecież wystarczy rzucić okiem na ówczesny organ prasowy Mierosławskiego, aby się przekonać, że nieszczęsny wódz wierzył, że u nas rewolucja społeczna obędzie się bez żadnego krwi rozlewu.

Niechęć z osoby Mierosławskiego przenosiła się bardzo łatwo na cały obóz czerwony, który ogłosił go dyktatorem i wezwał do przybycia do kraju. Krytykowano ostro manifest Rządu Narodowego z dnia 22 stycznia 1863 roku i zawarte w nim hasła społeczne.

Największe rozgoryczenie przeżyli zwłaszcza ci, którzy utracili w powstaniu najbliższych. Najlepsi umieli zachować się jak Rzymianie, ukrywając ból i osłaniając go dumą z męczeństwa poniesionego na ołtarzu dobrej sprawy. Ale częściej narzekano. Matki, potraciwszy w powstaniu synów, nieraz mówiły z gorączką o pannach, które, aby zachęcić młodzieńców zwlekających z zaciągnięciem się w szeregi powstańcze, posyłały im w prezencie zajęte skórki, chcąc ich za-

wstydić, a w kilka lat potem zmieniły pogląd.

Atmosfera, jaka zapanowała po roku 1863 była bardzo niezdrowa... Zazwyczaj szerzenie się takiej atmosfery przypisuje się pozytywizmowi, jego naiwnej wierze w pracę organiczną, która czyni zbędną realizację politycznych haseł maksymalnych, a nawet niekonieczność maksymalnych. Ale pozytywizm, — wyraz poglądów bogacenia się po powstaniu, w atmosferze szybkiego rozwoju kapitalizmu, sfery mieszczańskiej — to tylko jedna strona medalu. Była i strona druga, popowstańcza ideologia szlachecka.

Powstanie 1863 roku nie było w takim stopniu ruchem szlacheckim, jak powstanie listopadowe 1830 roku. Ale przewaga czynnika szlacheckiego była ogromna, bo zresztą i w tych czasach szlachta miała najwięcej do powiedzenia. Wstydzono się, że się nie jest szlachta. Nawet pozytywista Prus musiał w wiele lat potem kupca Wokulskiego uczynić szlachcikiem, bo inaczej nikty nie chciał czytać „Lalki”. I szlachta bodaj najwięcej w latach 1863—1904 przyczyniała się do dyskredytacji tradycji powstańczej w oczach ogółu.

Zajrzyjmy do roczników pism legalnym 1863 roku, a zwłaszcza 1864 roku. Iż tam znajdziemy enuncjacje do władzy rosyjskiej, podpisanych przez wybitnych ziemian, zapierających się wszelkiej solidarności z powstaniem, zapewniających o swej lojalności, ba — czasem nawet dziękujących carowi za tłumienie powstania. O tym się nie pamięta, ale tak było niestety!

To szlachta, a nie kto inny zożydziła w oczach ogółu Mierosławskiego i cały obóz czerwony. Nie mogła mu darować radykalizmu społecznego. Ona do ostatka sprzeciwiała się uwłaszczeniu. W przeddzień powstania Syrokomla, oburzony na antyuwłaszczeniową uchwałę szlachty wileńskiej woła z oburzeniem: „Ha, wstyd mi Wilna! Nie chcę być Litwinem. I hańba mojej rodowej pieczęci!”

Ludzie, którzy myśleli jak owa szlachta (a było ich немало, choć na szczęście nie wszyscy) byli oburzeni i na manifest 22 stycznia zapowiadający uwłaszczenie, i na „Złotą Hramotę”, z którą powstańcy szli na Ukrainę. Uważali, zresztą, iż rząd carsko-rosyjski w 1864 r. dlatego dokonał uwłaszczenia, ponieważ nie chciał się wobec chłopów okazać gorszym od powstańców.

Antyrosyjskość szlachty w ciągu pierwszego dziesięciolecia po powstaniu miała zabarwienie raczej społeczne, niż narodowe. Bardziej nienawidzili Milukina niż Berga, a bardziej się piełni na „Komisję Urządzającą”, czyli jak ją nazywali „Komisję Oporządzającą” niż u różne jaskrawe przejawy carskiego ucisku. Nie — szlachta tego okresu nie należała z pewnością do apologetów powstania.

Gdy zapoznaliśmy się z dziejami początków socjalizmu polskiego w latach 70 i 80-tych ubiegłego stulecia uderza nas niemiłe pewna zawziętość Ludwika Waryńskiego wobec ideałów powstańczych, zawziętość, którą przepełnił program stworzonej przez siebie partii. Tamaczą się to zazwyczaj petersburską atmosferą, w jakiej Waryński kształtował swój umysł, koniecznością liczenia się z „Narodną Wolą” i pewnym jego doktrynerstwem nawpół anarchizycznym. To wszystko prawda. Ale na jego negatywny stosunek do sprawy powstań narodowych wpłynęła z pewnością też atmosfera zgnilizny i rozkładu, która tak często towarzyszy poniesionej klęsce. To, co widział Waryński w Warszawie, nie mogło go pociągnąć. Dlatego jego program stał się antytezą programu powstańczego, dlatego pozwolił on sobie, powiedzieć, że „robotnik nie ma ojczyzny bo ojczyzną jego świat cały”, słowa niesprawiedliwe i doktrynerskie. Dopiero później w 1892 r. socjalizm polski przy zakładaniu P. P. S. zdobył się na syntezę programową. Nietylko nie wyparł się ojczyzny, lecz idąc w pierwszym szeregu walczących, inne klasy do służenia sprawie niepodległości zmusił.

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA-SOBOLEWSKA

Katarzyna podróżuje

W tymże czasie Katarzyna jechała koleją. Mocno ścisła zniszczoną torebkę w jednej ręce, bilet w drugiej, parasolkę trzymała pod pachą, od czasu do czasu odkładała którąś z tych rzeczy by obetrzeć pot z twarzy, zafranzowane włosy rozmiękły od potu, lepiły się do czoła i policzków, Katarzyna znów chwytowała parasolkę, okno zamknęła zanim jeszcze pociąg ruszył, niczego chyba tak się nie bała jak przeciągów, odziedziczyła to, po swojej matce, a ta po swojej znów, ale teraz bała się jeszcze bardziej, co Wiktor powie gdy ją zobaczy, ale czyż nie chodziło o Aldę? Ona nie mogła dłużej tego ścierpieć, jej obowiązkiem było to ukrócić, ona musiała zrobić tę ofiarę.

Po pierwsze trzeba Aldę oderwać od tego jakiegoś typu, po drugie — Wiktor musi wracać do domu. Co to za jakieś rozbijanie ogniska, już ja mu powiem! Nagle ośmiła ją myśl: przecież on z Teresą się zszedł napewno, a ona ślepa uwierzyła że chodzi o posadę, o zapewnienie bytu rodzinie.

Czy ona mu wymawiała jak stracił pracę? Niechaj wraca więc, w końcu znajdzie coś i w W., a tak — do czego to podobne? Już ja mu powiem. A jeśli tę szelmę spotkam, parasolkę jej na łbie połamię, oszukam!

Wreszcie zasnęła. I we śnie, choć nie przestała być trwożliwym i bezradnym stworzeniem, przestała być jedzą. Tu nie obowiązywały skostniałe prawa mieszczańskie niepodzielnie władające nią w świecie jawy. Tu stawała się tylko instynktem i uczuciem, tu kochała i nie nawidziła, i zabijała nawet czasami, ale o dziwo — nie Teresę, nie jakiegoś żyda czy bolszewika coby uwarowała za chwałebne na jawie, ale... starą kuzynkę! Wzruszyła się, ośmiła w sobie Katarzynę różgą gdy ta była małym dzieckiem.

I często w snach robiła coś jeszcze, co przerażało ją bardziej niż zemsta nad zamierzoną kuzynką, mianowicie: prasowała krawaty dla ukochanego Aldy, ponieważ Alda, ja o to prosiła, albo głaskała Wiktora po głowie, i mówiła: — No więc idź do tej Teresy, ja ustąpię, no bądźże chociaż ty szczęśliwy.

Po przebudzeniu wstydziła się tych snów. Skąd się takie głupstwa biorą w człowieku? Czy „przywoita” kobieta może pozwolić by mąż jej odchodził z jakąś „dziwką”? Czy dobra matka może pochwalić „włóczenie się” córki z jakimś nieznanym mężczyzną, nie wiadomo z jakiej rodziny, niewiadomo z jakimi zamiarami, i czy zamożny czy łapserdak...

Pociąg turkotał, Katarzyna kiwała się, zaduch i gorąco maciły jej w głowie, i zasnęła, i pozostała na tyle sobą by nie wypuścić z ręki ani torebki, ani parasolki, ani biletu. Ale nie na tyle by nie stać się prostą kobietą której serce wypełnia miłość.

Stała na rozstaju wielu dróg, dał ogromny wiatr, ona tuliła coś małego, dziecko czy kota, trzymała to na lewej ręce, ciążyło jej to, było ciepłe — szukała Aldy. To było dawno, Alda była mała, biała wstążka powiewała w jej rozpuszczonych włosach.

Przy drodze siedzieli jacyś ludzie, jedli chleb który wyjmowali z worków, Katarzyna spytała z przesadą, książkową grzecznością (w sen przedostało się wspomnienie niezadowolonych Aldy z powodu jej „pańskiego” traktowania służących...):

— Dobrzy ludzie, czyście nie widzieli malej dziewczynki z kokardą? To moja córka. Nie mam pojęcia którą drogą pobiegła, a dopiero co była przy mnie, tak mocno trzymałam ją za rękę. Zdawało się Katarzynie że ci „prości ludzie”, robotnicy czy chłopci, napewno coś muszą wiedzieć o Aldzie. Czyż w odezwach które wyszpiewowała w szafce nie powtarzało się słowo: robotnicy, towarzysze? Lecz oni nie wiedzieli nic. A może udawali. Tak jak Alda która zamknęła przed nią nie tylko te odezwy i swoją miłość, ale w ogóle swoje życie.

Katarzyna szła i szła, szukała, weszła w jakiś korytarz, potem na schody, zmęczyła się, nagle jakiś mężczyzna powiedział: — Ten jest. Wskazał wysoko,

czy to oznaczało samotność? Dumę? Odwagę? Mądrość? Katarzyna pobiegła. Zaczęła się drapać w głowę. Chwytała za poręcz, czepiała się szczebli i lin, ale to coś z lewej strony ciążyło jej, i wreszcie ustąpiła, spostrzegłszy, że stopnie wymykają się z pod jej stóp, schody są ułożone z ruchomych części zasuszonych kwiatów, krzyżyków, i klawiszy maszyn, i jakby obrazują połączenie bezbożności i beztardytności z tajemnicą nowych myśli i przeżyć które zastąpiły nauczane przez matkę.

— To za trudne dla mnie. Jestem stara — powiedziała Katarzyna do mężczyzny.

A on zaśmiał się i poszedł za Aldą. Katarzyna obudziła się. Przeraziła się że przejechała stację. Myślała: Co za głupi sen! Zamiast oburzać się na nią, to ja się tłumaczyłam: — Za stara jestem!

Zebym najmłodsza była tobym nie zesłała na taką drogę! Grzech, zuchwaństwo, bezbożność!

Tymczasem nie szła ani drogą cnoty ani występku, lecz zwykłą wiejską drogą, pytała o ulicę Wesolą (na Wesolej mieszkał Zobaczyćmy —), a gdy znalazła już ulicę, wstąpiła do ceglanoego domu, napis głosił: Hotel Oaza, wolne pokoje, obiady, własna orkiestra...

Przebyła trzy kamienne schodki, pchnęła oszklone drzwi przysłonięte żółtą zazdrostką, weszła w ciemny, głęboki zapach piwa, spytała grubasa w białym kitlu o pana Wiktora Aleluja.

A ten podszedł, uklonił się, gorliwie pokazywał dom i okno, o tam zaraz, dziesięć kroków stąd, ale teraz to pewno go nie będzie, zwykłe o tej porze idzie na pocztę.

— POCO ON CHODZI NA POCZTĘ — zjęzyła się Katarzyna, która zapomniała że Wiktor jest listonoszem i myślała, że on tam odbiera listy od Teresy. A chciała zaraz rozpakować żółty sakwo — jaż ten sam z którym on przyjechał kiedyś po nich do Piaskowej po swej rocznej włóczędze), napić się herbaty, a przede wszystkim wejść tam, zobaczyć jak mieszka, czy sam, czy ma służącą. I czy młodą...

Spytala przedko — A.. bywa kto u tego pana?

Grubas przyjrzał jej się, i zaraz odrzekł ze swobodą:

— Kiedyś była jakaś panienska, zdaje się córka, a znów w niedziele zwłkle siostra przyjeżdża, nieraz dwu albo trzech młodych ludzi.

— Aa — powiedziała Katarzyna. Ledwie zdolała wyszeptać podziękowanie.

Siostra, siostra — myślała. Ja ci dam siostrę! Parasolkę połamię na tej obłudnicy! Słowo honoru mi dała!

Potykając się zbiegła ze schodów, i dopiero sobie przypomniała że przecież on wyszedł. Można by sprawdzić, może ten grubas się myli.

Przeszła koło domu, zobaczyła psa jakieś dzieci, poszła dalej.

O jakże ona się szarpała w tych łańcuchach narzuconych wierzeń, fałszywych ambicji, nieprawdziwych prawd podrobionych uczuć. Jakże pragnęła (w snach) dać wolność swemu mężowi, dać miłość swojej córce, nie tylko kochać, tylko patrzeć jak oni żyją, Wiktor, Alda, Leszek, Jadzia, jak rozkwitają, rozgałęziają się we wszystkie strony, ustokrotniają się, ona — buntownica, on — dziwny, pełen niespodzianek, Leszek — czuły jak instrument, delikatny jak kwiat, wesola rumianolica Jadzia. O jakże byłaby bogata, i spokojna i szczęśliwa, gdyby mogła pozwolić im na szczęście i spokój, na szczerłość, zaufanie, wolność. Przychodziliby wiec czorem — jeść mamę, oj spać, oj jak się zmęczyłam, a ja przemarzyłam, żebyś wiedziała co przeczynałam, żebyś wiedziała co wymyśliłam —

A ona by karmiła ich, ogrzewała, układała spać, wysłuchiwała ich życia, myśli, zwierzeń, żalów, tryumfów... Byłaby szczęśliwa, o jaka szczęśliwa, cicha, spokojna. Lecz ona nie mogła, nie mogła, nie mogła. Ona musiała ich strofować, szpiegować, tropić, pilnować, więzić, wychowywać, pielęgnować, bronić, napastować, judzić, dręczyć, nudzić, posadzać, nienawidzić...

Musiała to wszystko gdyż była „matką”, „Polką”, „katoliczką”, „żoną”,

„obywatelką”, „przywoitą kobietą”, „dobrą gospodynią”, „panią”, „osobą z lepszej sfery”, z „dobrej rodziny“...

I każda z tych nazw właśnie, z tych stanów, z tych gotowych form istnienia nakładała na nią potworny ciężar obowiązków, straszliwy łańcuch powinności, śmiertelny nakaz zatrucia życia sobie i swemu otoczeniu. Jakże ona mogła rozmawiać z dziećmi przy stole, gdy musiała co chwila krzyzczeć: nie garb się! Ręce umyć! Nie szurgaj nos! Wyjmij łyżeczkę ze szklanki! Nie jedz nożem!

Jakże ona mogła pokochać tego chłopca, którego kochała jej najstarsza, kiedy ona musiała wietrzyć czy to nie Żyd, i czy z dobrej rodziny, i czy bogaty — i gdy musiała się oburzać, że miast przedstawić się matce, bywać w domu, przysyła jakieś świstki, wywołuje na ulicę „jak służącą“ — i gdy musiała pamiętać że w takie rzeczy powinien wejrzeć również ojciec, powinien „się rozmówić”, „dać do zrozumienia”, a w razie czego — „wymówić dom“ —

(Lecz jak wymówić dom takiemu, co nawet nie był łaskaw bywać w tym domu?)

I jakże, jakże ona mogła dać wolność mężowi, — a niech idzie, niech będzie szczęśliwy, niech nie myśli o niej źle chociaż, jeśli żyć z nią dobrze nie może, niech będzie nawet wdzięczny, że mu pozwoliła odejść, że nie robiła mu trudności —

— jakże ona może dać mu tę wolność jeśli powinna, jako ślubna żona: mieć go przy sobie, jako matka dzieciom: zmuszać o niego pamiętać, by z nim „wychowywał”, jako katoliczka: dbać o jego duszę i zbawienie; jeśli musi bać się nieustannie, dziko, drapieżnie o obiady, pranie, pończochy, garnki; jeśli jej ambicja nie może pozwolić by ją „opuszczał”, a jej moralność by „żył z jakąś dziwką“...

I jakże ona teraz ma iść do niego, prosić o pomoc dla dziecka, które jednak kocha, o które jednak, w swym zamęcie i otumanieniu i ślepotie — drży, ale przecież nie może pytać, ani radzić bo wytworzyła takie stosunki, że to dziecko raczej umrze niż ją poprosi o pomoc, raczej obcemu człowiekowi zaufa niż jej...

Więc jakże ona ma iść do ojca, który uciekł od niej, który porzucił ją, gdy o to nadarza się okazja — śledzić, zrobić scenę, zdemaskować, pomścić swą godność, wyszpiewować, przekonać się.

I Katarzyna cała uwikłana w te łańcuchy, w te więzy, w te obowiązki trucia siebie i tych których kocha, w imię bezsensownych komunalów, w imię pańskich słów i fałszywych hasel — Katarzyna nie decyduje się na wejście do Wiktora.

Zatrzymuje się na ścieżce, las pachnie, strumyk mruczy, ona tego nie widzi, otwiera zniszczoną, czarną torebkę, liczy pieniądze...

Te pieniądze przysłał przed paru dniami na cały miesiąc dla dzieci, lecz ona postanawia wydać je na co innego, trwa w swym szaleństwie, brnie coraz dalej, na twarz jej wypelzają wielkie plamy wypieków, w pokrzywionym kapeluszu, z rozfryzowaną w wietrze włosami, wraca do restauracji, w której była przed chwilą, wchodzi na te same kamienne schodki, wacha ten sam głęboki ciemny zapach piwa i pyta:

— Czy mają państwo wolne pokoje?

Służąca wprowadza ją na piętro, Katarzyna, która nigdy nie „podróżowała” sama, która jak żyje nie mieszkała w hotelu, z całej siły ścisła torebkę, z przestrachem i obrzydzeniem patrzy na wyszlizganą poręcz, na zaplute schody.

Ale wtem służąca otwiera jakieś brunatne drzwi z boku, wpuszcza ją prozdem, stawia w kącie żółty sakwojaż, nalewa wodę do miednicy z wielkiego dzbanka, który stał na korytarzu —

Katarzyna widzi że jest w małym, białym pokoiku, cichym, pustym, gdzie nie ma nic prócz łóżka z sosnowego, niemalowanego drzewa, takiegoż stolika i krzesła, gdzie jedyną ozdoba, czemś w rodzaju obrazu, jest widok za oknem.

I Katarzyna zdjąwszy palto, siedzi tam sama, jakby w zasłuchaniu, i patrzy w okno pełne łąk i nieba, jaskółki przesywają je swym lotem, swym pis-

kiem, i czuje że rozprostowuje się w niej coś, wygląda, ucisza, a nawet czuje się tak, jakby przestawała być sobą i jakby przestała na niej ciążyć te wszystkie obowiązki matki, żony, osoby z dobrej rodziny, obywatelki itp. którymi ją tak strasznie, tak zbrodniczo oplątano.

Bo wszystkie te obowiązki i te nazwy, prawa, cnoty, prawdy, nakazy, konieczności, formy — wszystko to było związane z jej dotychczasowym bytowaniem, z ponurym mieszkaniem, z dziećmi za które była odpowiedzialna przed tytu straszliwymi instancjami, ze sędziakami gdzie brała na kredyt, z sąsiadkami którzy ją znali, z rodziną — która niby źle i czujne bóstwo, niby stróż tych wszystkich prawd, czuwała nad każdym jej krokiem...

Zapukano do drzwi, spytano czy będzie jadła „u siebie”, i Katarzyna zdziwiła się strasznie, jakto — przecież powiedziałam że zostanę tu kilka dni...

RZUTY...

Niedemokratyczny duch p. Ducha

W duchu niedemokratycznym poczęty został projekt ordynacji wyborczej p. posła Ducha. Nie będziemy go tu ani cytować, ani rozważać, skoro uczyniła to już prasa codzienna. Wydaje nam się jedynie, że — w interesie publicznym — p. Duch oraz jego inspiratorzy powinni trzeźwiej spojrzeć na polską rzeczywistość i zdać sobie sprawę z kilku powszechnie wiadomych i niezaprzeczalnych prawd:

Jeżeli masom ludowym naszego kraju nie odpowiada ordynacja wyborcza p. Sławka, jeśli wysuwają one postulat innej ordynacji, pięcioprymiotnikowej i prawdziwie demokratycznej — to nie w tym celu, by w miejsce sławkowej otrzymać inną cprawdą w formie, ale podobną z treści i ducha ordynację. Trzeba mieć dużo lekceważenia dla politycznej świadomości naszego społeczeństwa, by przypuszczać, że przyjmując ono i zgodzi się na ordynację, która malowanym sztydem „pięcioprymiotnikowości” osłania antydemokratyczną treść.

I nie odnosi się to tylko do projektu p. Ducha. Czas zrozumieć, że woli społeczeństwa wyrażonej w enuncjacjach i akcjach stronnictw demokratycznych, odpowiada jedynie ordynacja uczciwie demokratyczna, prawdziwie pięcioprymiotnikowa, nie ograniczająca swobodnej decyzji wyborcy. ZADNA INNA!

O Torquemado ...!

Dziwić się? Nie, nie należy się dziwić projektowi p. posła Siody, demagogującego się kary chłosty dla przestępców politycznych. Raczej dziwić się należy zdumieniu, jakie ogarnęło z tego powodu dużą część prasy.

Bo i jakże? Nie zapominajmy przecież w jakich czasach żyjemy! Kiedy dla pewnej kategorii mieszkańców naszego kraju — kastet i pałka stały się idealnym narzędziem normowania ludzkiego współżycia, kiedy rozświetlony łuną płonących stosów Torquemanda stał się tęsknym zawołaniem poniektórej prasy, kiedy ciemne, najciemniejsze siły antyspołeczne pracują gorliwie i fanatycznie nad uwstecznieniem życia polskiego — cóż dziwnego, że z zatechłych nor średnio-wieczna wypelza „idea chłosty“?

„Gdyby p. Sioda — pisze „Kurier Polski” — zasnął kiedykolwiek rozkoszy chłosty, wiedziałby na pewno, że kara ta, nie tylko nie przyczynia się do porównania przestępcy, ale przeciwnie, budzi nim bunt, zacietęłość i pcha do dalszej walki z prawem“.

Ale — czy p. Sioda, adwokat, znający przecież współczesne prądy pienolologii, nie wie tego?

Nie argumentowanie jednak — takie czy inne — jest tu rzeczą zasadniczą, tu, gdzie wchodzi w grę metoda myślenia.

Na szczęście — tak, na szczęście ten sejm nie odbija mentalności społeczeństwa i złote myśli p. Siody nie odpowiadają poglądom przynajmniej części naszego kraju. Wyrażmy przekonanie, że stan ten będzie wystarczającym dla przekreślenia pomysłów, spóźnionych o wiele wieków.

Od „Mein Kampf” do — „Kampf dem Spatzenvolk”...

Od czasu zwycięstwa hitlerysty społeczeństwo niemieckie, — chore do głębi, histeryzowane po straszliwej ka-

Ale zaraz zrozumiała, i zaśmiała się, i powiedziała, że tak „u siebie”, i gdy już przyniesiono jej jajecznicę, kawę i placcek, to ona nie przestawała się cieszyć, że ten cichy, samotny pokój to właśnie znaczy „u siebie“.

Wszystko jej bardzo smakowało, nie zamknęła na noc okna, nie umyła się — obie te rzeczy robiła każdego wieczoru, przeżegnała się tylko, była tak zmęczona, upojona, że nie miała sił na długie, codzienne pacierz.

A gdy usypiała — przypomniawsobie jak przed laty, w piętnastym roku życia, wyjechała na swą pierwszą posadę do ziemianckiego domu, jako bona do dwojga dzieci, i pierwszej nocy była tak samo zmęczona, przeżegnado było tak samo chłodne i pachnące krochmalem, z oknem niebo, łąki, oboś.

Wtedy jeszcze nieraz zdarzało się jej zapomnieć okno zamknąć albo zmówić pacierz.

W katastrofie 1918 roku, — poddane zostało „końskiej” zaiste, szalonej kuracji, która wcześniej czy później skończyć się musi — jeszcze jedną, o wiele straszniejszą niż tamta, katastrofą. O tym jednak co się dzieje dzisiaj w kraju brunatnego faszyzmu, nie należy wnioskować z oficjalnych deklaracji i przemówień, ani z dodatków filmowych, przedstawiających niestanne marsze, entuzjazmy, kongresy i parady. Kto umie czytać nie w pozorach, ale w treści, temu o kraju swastyki więcej powiedzą fakty drobne, drugorzędne na oko, a właśnie najwymowniejsze; albowiem cała prawda życia zbiorowego objawia się w codziennym, nie w odświętym; nie na najwyższych, lecz na dolnych piętrach dzieją się sprawy, decydujące dla przyszłości. Nie wierzyć? Weźcie do ręki gazetę, zwierciadło dnia: więcej dowiedzie się o rzeczywistości z podrzędnych rubryk kroniki, petitem drukowanej, niż z czołowych, sutych, na pierwszej stronie pomieszczonych artykułów.

Nie na frontowej, doprawdy, kulminnie opublikował niedawno „Westdeutscher Beobachter“ odezwę „Urządu Apropowacyjnego Okręgu Rolnego w Kolonii“ (Köln am Rhein), w której czytamy:

„W ostatnich latach rozmnożyły się u nas wróble w zastraszającej mierze. Stanowią one dziś wszelkie niebezpieczeństwo dla naszych pól rolnych. Tworzą się centarowe zboża tracimy corocznie przez tych psotników. Musimy nasreszcie coś radykalnego przedsięwziąć, żeby tej pladze kres położyć. W naszych miastach, na podwórzach i w ogrodach wróbel jest mile widzianym gościem, karmionym przez młodych i starych. Lecz chwila obecna wymaga od nas odrzucenia wszelkiego sentymentu i nakazuje nam chwycić się natychmiast radykalnych środków samopomocy. Musimy wytypić wróble po wsiach i miastach. „Kampf dem Spatzenvolk“. Chwyćcie i zabijajcie je wszędzie, niszczyć ich gniazda, siedliska wylęgających się szkodników naszych pól uprawnych“.

Odezwa kończy się napomknięciem, aby w proklamowanej „wojnie z wróblami” zastosowano „rycerskie sposoby walki”. „Rycerskie“? Czyżby chodziło o postępu o gazy trujące?

Zacytowany dokument świadczy jaszkrawo o coraz bardziej krytycznie rozwijającej się (czy raczej: kurczącej!) sytuacji żywnościowej Niemiec pod rządami hitlerowskiego totalizmu: sytuacja ta zdaje się w szybkim tempie zbliżać do stanu, w jakim kraj ten znalazł się w trzecim i czwartym roku wojny światowej... Musi być bardzo, bardzo źle w państwie Hitlera, w piątym roku ery nazistowskiej, skoro już nawet wróblem — pomyślcie: pocziwym wróblem! — urzędy aprowizacyjne odmawiają ich tradycyjnego, ptasiego wikt...

Ale odezwa z „Westdeutscher Beobachter“ ma jeszcze inną, znamiennejszą o wiele wymowę. Z rzadko spotykaną oczywistością ilustruje ona ogólny proces upadku, równie pochyłą, po której stacza się naród niemiecki pod ugięciem brunatnego jarzma. Od wielokrotnej, wygrażającej całemu światu, megalomańsko-patetycznej „Mein Kampf“ Hitlera — do lichej, malej i jakże żalostnej „Kampf dem Spatzenvolk“ — „wojny z wróblami“: oto prawdziwa droga złudnych blasków i realnych nędz niemieckiego faszyzmu — droga bankructwa.

*) (Fragment powieści „Łańcuch” która wkrótce ukaże się na rynku księgarskim).

WŁODZIMIERZ JAMPOLSKI

SPÓR O JEDNOMYŚLNOŚĆ

Jest to arcystary problem zresztą, aktualizowany na wszelkie sposoby na świecie i u nas. Wciąż się więc mówi, że trzeba jednomyślności, że musi się maszerować dziarskim, rytmicznym krokiem, że musi być jedna wola i jednolity pogląd i że dopiero wtedy będzie dobrze. Nie mówi się natomiast, w jakim kierunku ma zmierzać ów marsz, na co się wszyscy mają zgodzić i co ma zawierać owa jednomyślność, oraz jakie są poglądy i cele jej z góry już ustalonych przedstawicieli i mocodawców. Dwa truizmy pętają się w około całego tego mechanicznego paplania o jednomyślności. Jeden to ten, że dawna Polska zrujnowana została przez niezgodę i liberum veto, a drugi o piewa, że wszelkie totalizmy nie rozprawiają nie dyskutują, ale jednomyślnie słuchają swoich wódców i dlatego są silne, dobrze im się powodzi i my powinniśmy je naśladować.

Problem zgody traktowany jest w sposób bardzo rozmaity. W krajach totalnych stanowi on dogmat, nad którym nie wolno dyskutować, gdyż wyrażone wątpliwości narażają na jak najprzekrejsze konsekwencje. Prawo interpretowania narzuconej, mistycznej jednomyślności ma wódz — kapłan, twierdzący o sobie, że obcuje z duchem narodu, z duchem dziejów i bóstwami, nadającymi temu wszystkiemu kierunek — i że wskutek tego on wie najlepiej, czego reprezentowany przezeń naród ma chcieć i do czego ma dążyć. Udział mniej świadomych części tego narodu, a więc tej olbrzymiej większości, która pozostaje poza obrębem wodzowskiej klikki, mógłby jedynie osłabić ów wewnętrzny głos, którego wódz jest monopolistycznym wyrazicielem.

Z taką to pogardą potraktował Mussolini propozycję senatora amerykańskiego Dudlowa, aby na wypadek niebezpieczeństwa wojny plebiscyt miał możliwość decydowania w sprawie wyboru między wojną a pokojem. Jak niechętnie nasi nacjonalści endecko-ozonowi odnoszą się do możliwości rozpisania demokratycznych wyborów!

Z tego samego ducha wywodzą się jedynie uprawnione listy kandydackie, przedkładane stądom niewolników przez dyktatorów Włoch i Niemiec. Na pograniczu tej samej tendencji stoją korygowane wybory i mocno zacieśnione przez praktykę i interpretację ordynacje wyborcze na Bałkanach na Węgrzech i gdzieindziej.

Wszędzie tam panuje lęk, aby nie odezwał się prawdziwy głos społeczeństwa. Wszędzie władcy wie uważają się za jedynie powołanych i dojrzałych do decydowania o państwie — w jakiejś boskiej próżni, wysoko nad milionami głów milczących niewolników. Maniactwo, megalomania w gigantycznej skali, tyrański sadyzm, obłąkany mistycyzm, żądza życia i wyzicia się w formacie mistycznych półbogów lub cesarów, upadającego Rzymu — oto czynnik aktywny, strzegący głuchej, głębokiej toni milczącej jednomyślności. Małe grono wojnych od wszelkich więzów, nawet ludzkich — i olbrzymie tłumy, stanowiące instrument pod tą nie-ludzką, wyzywającą dziejowy piorun swawolą. Czynnik bierny, to masy o starganych nerwach, o ciastkach wycieńczonych niedostatkiem, niewiedzą, gdzie ich droga, nie umiejące znaleźć wyjścia z matni wielkich, odpowiedzialnych i ciężkich czasów i dlatego zrzucające odpowiedzialność z siebie na barki dyktatorskich znachorów, odpłacających się im za to najroszszą niewolą ducha i ciała.

Zgoda mistyczna, zgoda dogmatyczna, zgoda narzucona, wy-

muszona i kontrolowana cofa nas do okresu barbarzyńskiego czy też zwierzęcego prymitywizmu. Ramy narzuconej jednomyślności dyktatorskich rządów zabijają wszelką treść w swoim obrębie albo każą kryć się głęboko w podziemiach nienawiści i buntu. Najbardziej pożądane byłyby ludzkie automaty, niezindywidualizowane, posłuszne, totalistyczne, żyjące wyłącznie spełnieniem obowiązków, do których zostały powołane, i nie mające nawet atomu indywidualnego życia. Tylko w takim państwie automatów z „Nowego lepszego świata” Aldousa Huxleya mogłyby totalizm funkcjonować bezpiecznie, bez zgrzytów i bez obaw. Wszędzie indziej stanowi czarny ale przemijający okres zaćmienia umysłów, choroby charakterów, wielkiej zarazy moralnej i intelektualnej, po której musi przyjść wyzdrowienie, jeśli ludzkość nie ma haniebnie zginąć.

W krajach niezarażonych totalistycznym trądem, mówi się również czasem o jednomyślności, ale

sam fakt powstania takich dyskusyj świadczy o wewnętrznej nie pewności wywołanej niepokojącym sąsiedztwem zaborczych totalizmów. Francja zaniepokojona burzliwością wschodniego sąsiada, zastanawia się nieraz nad problemem jednomyślności przez pryzmat swoich ostrych walk politycznych i społecznych. Natomiast w najbardziej wewnętrznie jednolitej i bezpiecznej Anglii jednomyślność występuje często w praktycznym życiu ale niemal nigdy nie stanowi tematu dyskusji a cóż dopiero sporów. Marzy się o tym, czego się nie posiada. Problemy rodzą się z braku, a poczucie trwałości i bezpieczeństwa bywa bezproblemowe, problematyczność natomiast przenosi się wtedy do innych bardziej odległych i głębszych i bardziej skomplikowanych dziedzin.

Zgoda dyktatorska jest zgodą formy, zgodą przymusu, zgodą pozorną, w której wnętrzu rodzą się wulkany buntu, mogącego w każdej chwili wybuchnąć. Zgoda demokratyczna jest zgodą treści,

zgodą istotną, bo urodzona w atmosferze wolności. Zgoda dyktatorska jest mistyczna lub dogmatyczna, ma podkład personalny, apeluje do instynktu strachu, osłabstwa, utylitaryzmu. Zgoda demokratyczna jest krytyczna, rzeczowa, zwraca się do rozumów i do sumień. Zgoda dyktatorska z godzących się czyni niewolników bezdusznych lub też przeklinających swój los. Zgoda demokratyczna opiera się na wolnych obywatelach, których podnosi poczucie osiągniętej dobrowolnie jednomyślności.

Odpowiednikiem zgody dyktatorskiej jest rewolucja, demokratycznej zaś demokratyczna parlamentarna opozycja. Gdy los zdruzgotą ramy dyktatorskiego ucisku, wtedy z dyktatury wysypuje się wszelka treść, pozostają gruzy i zgłiszczą, a najwierniejsi służalcy wypierają się wszelkiej wspólności z tym, co było i co obdarzyło ich nazwiskiem, zaszczytem i bogactwem. Dyktatury, która upadła, która minęła, nie broni nikt a jeśli wspomina, to zlorzczając i

przeklinając. Natomiast zawsze znajdują się kadry nieustraszone, wyznawców i bojowników, którzy będą bronili sprawy powołanej chwilowo wolności. Albowiem zgoda dyktatorska jest bezdusznym mechanizmem, który zepsuwszy się, nie da się naprawić, nie odzyska.

Zgoda demokratyczna natomiast jest żywym organizmem, rosnącym wprawdzie powoli, ale zapuszczającym głęboko korzenie i wznoszącym wysoko i pewnie swoją koronę.

Dyktatorska jednomyślność zabija życie w swoim obrębie, albo każe mu się wynosić daleko i uskrzywać głęboko. Zgoda demokratyczna jest z jednym z przejawów żywej i żyźnej solidarności w obrębie wspólnej sprawy — solidarności, którą odczuwa się nie tylko w rzadkich i podniosłych momentach jednomyślności ale i w toku cierpliwego, pełnego wahań sprzeczności analizowania wspólnych spraw i problemów, będących najcenniejszym dobrem dla rzadkiego i wolnego społeczeństwa.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

» ZIEMIA W JARZMIE «

„Jeden z recenzentów, omawiając książkę Wasilewskiej (*), wyraził się, że trzeba ją czytać z „Małym Rocznikiem Strastycznym” w ręku. Można by rozszerzyć to powiedzenie — i na listę wydawnictw, uzupełniających i komentujących „Ziemie w jarzmie”, wypadłoby wciągnąć takie publikacje lat ostatnich, jak „Genealogia teraźniejszości” — Świętochowskiego, „Idea Polski” — Wład. Grabowskiego, „Rozdroże” — Marii Dąbrowskiej. Ale taka podręczna biblioteka tłumacząca w pewnej mierze genę powieści i jej sens społeczny, potrzebna jest raczej historykom literatury, którzy badać będą obiektywne tło epoki, szukając zależności socjologicznych między kroniką jej wydarzeń a pewnymi zjawiskami literackimi. Czytelnikowi zwykłemu, obdarzonemu przeciętnym poczuciem rzeczywistości i skromną choćby wrażliwością estetyczną, nie są potrzebne w danym razie komentarze i inter-

*) Wanda Wasilewska. Ziemia w jarzmie. Powieść. Warszawa, „Rój”, 1938 str. 306.

pretacje. Nowa powieść Wasilewskiej, wyrosła z głębi obywatelskiego instynktu i krwi czującego serca pisana, tłumaczy się jasno sama przez się i nie wymaga odsyłaczy, cyfr ani zestawień bibliograficznych.

O sprawie chłopskiej, o zastarzałym sporze między wsią a dworem obszarowym, o konieczności zlikwidowania przyżytków szlacheckiego bytu, na rzecz tych, którzy stanowią 70 proc. ludności Państwa Polskiego — pisze się dziś i w publicystyce i w beletrystyce bardzo dużo. I autorka „Ziem w jarzmie” ma już w swym dorobku pozycję powieściową („Ojczyzna”), opartą również na tematach wiejskich. Wobec doniosłości tych spraw dla polskiego bytu, wobec najgorętszej wciąż ich aktualności — nie jest żadną niespodzianką, że pisarka o tak żywych i czujnych zainteresowaniach społecznych jak Wasilewska uważa sobie za obowiązek niemal powracać do zagadnień chłopskich, by na gruncie artystycznym dać wyraz niepokojom i obawom zbiorowym, by ukazać surową prawdę rzeczy groźnych i brzemianych

w następstwa, by wołać na alarm i torować drogi naprawy.

Obraz nędzy i upośledzenia wsi nadbużańskiej przedstawiony w powieści Wasilewskiej, ma w sobie przejmującą i tragiczną wymowę. Wierność i dokładność, posunięta gdzieś aż do granic świetnego reportażu, łączy się tu z potężnym tchnieniem liryzmu, z mocą treści uczuciowej, która rozkrusza wszelkie formalne przeszkody i żłobi słowa pisarskiemu łożysko, w sam rdzeń percepcji czytelnika wiodące. Szczegóły tej kompozycji powieściowej są liczne i różnorodne, tworzą one całość prawie bez luk i szczelin.

Powszednie troski i kłopoty małego chłopca, mordęga parcelantów, uwikłanych w sieć rat i pożyczek, kłębki elementarne spadające na piaszczystą i nieplenną ziemię, — stosunek do władz i urzędów — i wreszcie obustronna, zacięta i nieubłagana walka między wsią a dworem jaśniepańskim, który „jak gwóźdź jatrzący i zabójczy tkwi w żywym, nędznym ciele wsiowych poletek”.

Tu i ówdzie na kartach powieści znajdziemy jakby skróty i kondensacje rozległego obrazu, wypełniającego ramy pomysłu autorki. Ile treści i wyrazu zawiera np. taka wizja gromady dzieci chłopskich, przesuwnąca się przed oczyma ich nauczyciela: „Stefka z włosami zlepionymi od gniid, Józek, na którego ramionach i plecach wędrujące wieczne wszy wyżyły w wiotkiej, szarej skórze kręte kanaliki, — Stasiak i Antek z urodzonymi szkorbutem dziąsłami, Lesoska, której wiecznie ciekło z uszu, Władek ze skazą skrotuliczną, dzieci z nogami, pokręconymi krzywicą, dzieci z rozdętymi od kartofli brzuchami, dzieci z wszawicą, z próchnicą zębów, obsypane wrzodkami, dzieci — zbiorowisko wszelkich chorób, o których przedtem nawet nie słyszał, straszliwe panoptikum wsi, od niepamiętnych czasów przemieszanej głodem”... Czyż potrzebne tu są komentarze?... Pod powierzchnią tych przerażających słów, kryje się — niezbyt zresztą głęboko — cała prawda losów i dziejów polskiej wsi, czekającej cierpliwie a z zaciśniętymi zębami godziny wyjścia z obecnego stanu.

Dwór Ostrzeńskich — to znowu inny świat, związany przecież odwiecznymi niemi z dolą chłopca, i z tej doli — a raczej niedoli — czerpiący zdawna swe dostatki i splendory. Jakże ludzki i prawdziwy jest w swym psychologicznym zarysie feudalny szczyłek, wbrew wszystkim i wszystkiemu trwający na straconym już posterunku, w plonnej nadziei, że — jak Jozue słońce — tak on, hrabia Ostrzeński, wstrzyma nieunikniony bieg dziejowych przeznaczeń i swą wyniosłą pogardą dla „chamów”, swą zacieklą względem nich nienawiścią zbuduje ta-

my przeciw czasom nowym. Ale i jego wreszcie ogarnia zwątpienie, czy nie nadchodzi jednak „ich” czas, czy jego czasy nie schodzą z nim razem „w grób”. I nie stać już tego mściwego, zapamiętałego w sobie starca na nic więcej, jak na złe, kąśliwe szydewo, gdy chłopskim pogorzelcom, proszącym go o pomoc, każe wydać dwie fury kartofli, z tych „przebranych dla świni”.

Jest w tej powieści epizod wstrząsający, gdy hrabscy gajowi mordują kamieniami za nic i o nic chłopca Zielińskiego, a dla zatarcia śladów zbrodni rzucają później ciało w wodę. I jest druga scena nie mniej wstrząsająca, gdy chłopskie dzieci — z głupoty czy dla zbytków obrzucają kamieniami Annę — wdrowniczkę, wijącą się w bólach porodowych na wiejskim gościńcu. Nie mogą się oprzeć wrażeniu, że te dwa — dość odległe pozornie od siebie — epizody łączy jednak jakiś podskórny węzeł logiczny. I tu i tam w rękach kamień, przeciw drugiemu człowiekowi zwrócony. A ci gajowi w pańskiej służbie, Sowiaki i Grabarczuki, to przecież także — chłopskie dzieci. Jedno z drugą wiąże się tu jakoś, tłumaczy i uzupełnia, a wód jest dość jasny: na wsi czy w mieście wytrącać trzeba z każdej ręki kamień, przeciw słabszemu i bezbronnemu wymierzony. A pracę tę rozpoczynać trzeba z awansu i w porę, zanim młoda skorupka nasiąknie okrucieństwem i nie-ludzkością. Wielka, przegromna będzie w tym rola nauczyciela i wychowawcy, takiego właśnie jak ów Wincenty z powieści Wasilewskiej, który w trudzie wewnętrznym zdobywa wreszcie skarb rzetelnej samowiedzy i poczucie swego społecznego powołania.

Ze zrozumiałych względów Wasilewska nakłada często tłumika na swe pióro, — mówi szepem tam, gdzie należałoby krzyknąć i wołać o pomoc do nieba. Ale ten sposób pisania, pełen spokoju i umiary, wolny od akcentów burzliwych i gwałtownych, nie ujmuje przecież ani wdzięku z piękności i czystości stylu Wasilewskiej, który w „Ziemie w jarzmie” lśni i zaleca się szepem rzadko w naszej prozie współczesnej spotykanych uroków. Świeżość i soczystość, barwa i blask, obrazowość i plastyczność, polot i wdzięk — wszystko to trzeba wymienić jednym tchem, gdy się o polszczyźnie „Ziemie” chce dać wyobrażenie choćby najpobieżniejsze. Niektóre opisy przyrody mają w sobie tyle głęboko odczutej piękności, tyle niefalszowanej poezji i tyle mądre rozsypanych językowych powabów, że staną się z pewnością kiedyś wzorem polskiej prozy w czytankach dla młodzieży. „Ziemia w jarzmie” — to przekonywające świadectwo wszechstronnej dojrzałości twórczej autorki tej powieści.

BENEDYKT HERTZ

TRZY POKOLENIA

I.

Świtało... Kroki głużył zeszlóroczny wrzós,
Było nas strzelb dwadzieścia i trzydzieści kos.
Las się skończył. — Moskale! Kozaków pół sotni
rota objeszczyków. Chociaż nieobrotni,
szybkośmy czworoboków kilka sformowali
na komendę: celuj! czekamy Moskali.
Salwą szarzę Kozaków raz, drugi odparto
tuśmy rozpoczęli już bitwę załartą:
pierś o pierś, oko w oko. Nikt nie prosi łaski...
Brzęczą kosy, bagnety, słychać strzałów trzaski,
charkot umierających, jęki rannych... Piekiel
Wycieliśmy piechotę, kozactwo uciekło.

II.

Świtało. Podoficer Świdzki na czele
dziewięciu ludzi wrócił. — Co słychać?... — Niewiele:
ot, jeńca trochę wzięto z niedalekiej wioski,
gdzie wróg się usadowił. Przy pomocy Boskiej,
powiodło się niezgorzej. — Iluście dostali?...
— Będzie razem trzydziestu i dwu tych Moskali.
W tym jest jeden pułkownik, oficerów trzech.
— Toś zuch!... — Ale się chwalić byłby przecie grzech.
Podporucznik Ścierzyński lepiej se poradził:
z ośmioma żołnierzami stu jeńców sprowadził.

III.

Świtało. Wracaliśmy z komersu... pod gazem...
Było nas... nie pamiętam... ze trzydziestu razem.
A każdemu się marzył wyczyn bohaterski...
Idziemy Marszałkowską w stronę Świętojejskiej...
Wtem... pycha!... Jest okazja. Żyd, Żyd się przybliżył.
Ach gudłaju, parszywczel! Precz sądz, mordo ryżal!
Więc podkasał kapotę i drapnął w tej chwili.
A myśmy na dokładkę dwie szyby wybili.

Podkowa Leśna, d. 12. I. 1938.

ŁOPATA DO GŁOWY

Na rozbuchanej kobyle

Na łamach „Merkuryusza Polskiego” toczy się obecnie ożywiona dyskusja, na temat wielce pasjonujący ogół czytelników tego zadzierzystego piśmka. Chodzi mianowicie o to, czy Chrystus był czy nie był... Żydem. — Problem ważny i dla każdego wojującego patriotę pierwszorzędno znaczenia. Ciężko bowiem jest prawowiernemu narodowcowi być równie prawowiernym chrześcijaninem, jeśli się wierzy, że prawdy zawarte w Piśmie głosił i rozpowszechniał Żyd Chrystus, na spółkę z żydowskimi agitatorami noszącymi w owym czasie miano apostołów. — W duszy zaś prawowiernego narodowca łąco mogłoby się zrodzić myśl, że kto wie, czy ci poczciwi „narodowcy” w Niemczech nie mają słuszności tępiąc chrześcijaństwo jako wymysł żydowski spreparowany specjalnie po to aby zgubną nauką miłości bliźniego osłabić ducha rycerskiego w aryjskich narodach i wydać je w szpony Mędrcoń Syjonu. Wątpliwości takie mogłyby wywołać ferment i rozłam w naszym patriotycznym. Zupelną słuszność miał więc p. S. Kobylński, że zagali na ten temat dyskusję, lansując tezę, iż wszystkie pogłoski o żydowskim pochodzeniu Chrystusa opierają się na plotkach, lub zgola żydowskich wymysłach. W rozprawie na ten temat dyskusji zabralo głos kilku teologów, których poglądy w tej materii okazały się niejednoznaczne. Słowem teza p. K. znalazła w sferach teologicznych b. poważnych przeciwników.

W pięćdziesiątym numerze „Merkuryusza” rusza z kopyta przeciw swym uczynionym w Piśmie przeciwnikom, nie mniej w Piśmie obojga Testamentów odbył p. Kobylński. Zaczyna ten patriot, narodowiec i prawowierny chrześcijanin w jednej osobie na poparcie swej chwalebnej tezy używa jednak argumentów, po których św. Mateusz napewno się w grobie na drugi bok, z wielkiego wzburzenia przewróci. — Oto ni mniej ni więcej p. K. zarzuca św. Mateuszowi, świadome czy nieświadome łgarstwo. Tak nie można p. S. Kobylński, albo Pismo św. zawiera prawdy objawione albo nie. — Nie wypada jednak w żadnym wypadku aby prawowierny chrześcijanin tak wprost, w oczy bryzgał św. Mateuszowi zarzutem kłamstwa. Nie chce pan chyba twierdzić panie St. Kobylński, że rodowód Chrystusa w ewangel. mateuszowej, to jeden więcej szwindel żydowski, sprawa tego Żyda Mateusza recte Lewi zrobiona celem zamydlenia oczu pobożnym aryjczykom. — Po prostu masońska żydo-komuna w starożytnym wydaniu. — Co?

Pan K. erudyta biblijny tezę swą uzasadnia w następujący sposób: ponieważ „Synowie Izraela mieszkali w pośrodku Chananejczyka i Hetyjczyka i Amorejczyka i Fereryjczyka i Hewejczyka i Jerubejczyka i pojmwali ich córki za żony i sami córki swe synom ich dawali i służyli bogom ich (Kk. Sędziów III — 5—6) więc jest całkiem możliwe, a nawet zupełnie pewne, że Chrystus jest raczej np. Hetyjczykiem niż Żydem. Pismo św. wprowadziło nic o tym nie wspomina, ale od czego jest t. zw. „zdrowy instykt narodowy” p. Kobylńskiego. Z powyższych twierdzeń wynika jak na dłoni, że Żydzi też właściwie Żydami nie są. — Obowiam się, że zacytowany „Merkuryusz” zmiję okrutną na swej włochatej piersi wychodował. Pan K. stara się najwyraźniej wyprowadzić na manowce i zdezorientować wyżej wspomniany t. zw. „zdrowy instykt” społeczeństwa patriotycznego. Skąd, proszę mi powiedzieć wie dzisiaj młody entuzjasta żydobicia, (czytajacy Merkuryusza) czy zyletkowany przez niego w danym momencie chałat żydowski należy do żyda czy też do Chananejczyka, Hetyjczyka, Amorejczyka, Fereryjczyka, Hewejczyka i Jerubejczyka w jednej osobie, czy też do jednej z wspomnianych wyżej osobistości. Swoją drogą, jeżeli to wszystko prawda,

to mamy jeszcze jeden przykład ordynarnej „hucpy” żydowskiej. — Tak się potrafił przytacić, że dziś to właściwie nie wiadomo, który Żyd jest Żydem, a który Żydem jest... nie Żydem.

I bij tu teraz narodowce, „głową o ścianę, bo Żydzi znikli. Chociaż do bicia zawsze się ktoś znajdzie, chociażby sąsiad ideowy z innego oeneru. — Panom Piaseckim i Wasiutyńskim poradziłbym też z serca, aby opierając się na znakomitych wywodach p. K. przeszukali zakamarki swych drzew genealogicznych. Jakby to było ślicznie, gdyby okazało się, że przodkowie ich nie byli Żydami tylko p. Wasiutyński wywodzi się np. z Amorejczyków a p. Piasecki jest z Hewejko Jehurejskiego rodu. Co też to za radość zapanowałaby w obydwu oenerach.

W przemysłnych swoich wywodach p. K. stwierdza, że wie napewno, iż Chrystus Żydem nie był. Ponieważ zaś „wie napewno” więc kończy dyskusję na ten temat i stara się wytrącić pióro z ręki wszystkim ewentualnym przeciwnikom swej tezy, twierdzi on mianowicie, że tylko niearyjski chrześcijanin opowiedzieć się może przeciw tezom. W ten sposób p. K. dokonuje za jednym zamachem dwóch rzeczy. Rozstrzyga kwestię pochodzenia Chrystusa i robi epokowy wynalazek. Wynalazkiem p. K. jest nowy błyskawiczny sposób przeprowadzania dowodu aryjskości. Wygląda to może np. w następujący sposób: Inkwizytor do podejrzanego o niearyjskość delikwenta:

— Czy Chrystus był czy nie był aryjczykiem? —

— Jak myślisz, powiedz proszę? —
Wierzę Pan sobie dalej p. Kobylński, po oślej łąnce narodowo-patriotycznych zagadnień.

Juliusz Topolnicki

LEON PASTERNAK

WIZJA

Gdy masz u nogi broń
rynsztunek aż po zęby
o bruki marszem dzwoń
i kaź łomotać w bębny.
Bo reszta bracie bzdura
hipp hurra, hurra, hurra!

Gdy walić masz to wal
lecz prosto między oczy
niech kości miażdży stal
aż wróg twój krwιά się zboczy.
Na resztę bracie pluj
na bój, na bój, na bój!

Gdy trzeba rzeźby tłuc
to się ochoczo tłucze
bo tak rozkazał wódz
nasz führer albo duce
Kulturę wróg zaleca?
To heca, heca, heca!

Gdy zechce ci się jeść
wpierw się przegłódnij w szybie
na żarcie twe i cześć
tam wróg śmiertelny dybie.
Spod daszka szczyrzy kły
to ty, to ty, to ty!

Gdy masz u nogi broń
rynsztunek aż po zęby
o bruki marszem dzwoń
i kaź łomotać w bębny.
Po to jest dyktatura
hipp hurra, hurra, hurra!!!

WSZELKIE WPLATY DLA
PISMA NAJWYGODNIEJ U-
SKUTECZNIAC MOŻNA BEZ
PŁATNIE POCZTOWYM
PRZEKAZEM ROZRACHUN-
KOWYM — „albo-albo”, KRA-

KRONIKA

Głos o współczesnych Niemczech

Maurice Bedel znany pisarz francuski pochodzący z Turynii przejechał Niemcy wzdłuż i wszerz dla zapoznania się bliżej z problemami i psychiką narodu niemieckiego. O Hitlerze pisze: „Pan Hitler, cokolwiek by Niemcy mówili, to nie całkowite, ni wieczne Niemcy, ani z epoki Bismarcka, ni Goethego, ani tymbardziej Niemcy chrześcijańskie, to Niemcy szczególnego rodzaju, zupełnie prymitywne”. Autor znalazł się wobec kilkudziesięciu tysięcy ludzi, którzy się bawią dla zabicia czasu — jak powiada „Hitler to człowiek, który za pomocą 3 słów: Żydzi, Bolszewizm, Demokracja, to jest za pomocą 3 działań na ścianie, ustanowił pewien rodzaj religii, krucjatę a w sumie doprowadził naród do majaczenia tak głębokiego jak tylko naród mającyć w sobie”.

Bedel stwierdza wreszcie, że „ci ludzie sami ściągają na siebie nieszczęście, gotują sobie sami wienie, w którym się lokuja a potem śpiją tak mniei — więcej: „Jesteśmy dumni, my Niemcy, jesteśmy pierwszym narodem świata”.

Tym obrazem, „którch człowiek 19 wieku nigdy by nie przeczuwał, że je oglądać będą jego dzieci” przeciwstawia Bedel obraz wolnych pól Turynii, których wolności Francuz wcale już nie czuje, tak naturalne i wrodzone jest mu poczucie wolności.

Céline — antysemitą

Ostatnia książka Céline'a, wspomniana przez nas na innym miejscu, poznaje nas z ewolucją poglądów pisarza — oto autor „Podróż do kresu nocy” został „antysemitą”. „Rozumieliśmy dobrze, pisze z tej okazji Pierre Loiselet, przy okazji Céline'a, że pojedzie on daleko. Jednak nie tak znowu, jak się okazało”. Céline proponuje podczas wojny posyłać Żydów w pierwszą linię i po-

zbawiać wszystkich praw. Żydzi, zdamniem Céline'a, wywołują wojny, rządzą wszystkimi krajami itd. Dla nas rzeczy te nie brzmią rewelacyjnie, stykamy się z nimi co dzień. Co innego krytyk francuski. Ten po prostu... kpi z Céline'a.

„Wypadek Céline'a, pisze ten Loiselet, budzi jednak raczej myśl o zbrodni, niż śmiech lub gniew. Chorych się nie obwinia, nie sądzi się ich nawet.

Przez trzysta stron trwające gromadzenie okropnych szczegółów, usiłowania Céline'a do potępienia całej rasy, by przygwoździć ją do słupa hańby, zwracają się przeciw niemu samemu i jego książce. Nie bierze się poważnie ani tego, ani drugiego. Może to jednak żart? Cały świat jednak wie, że żarty p. Louis-Ferdinand Céline'a nie są nigdy zbyt dowcipne i jakoż najczęściej „a ordynarne, nie należą do najlepszych”.

Nie warto przytaczać innych opinii krytyków francuskich; chcieliśmy jedynie dać przykład, jak go traktują we własnym kraju.

Nie ulega wątpliwości, że niedługo wszystkie „Stuermery” całego świata, a więc i ich polskie wydania, zaczną druzkować ustępy z książki „nawróconego” pisarza, będą podkreślać „wagę i znaczenie” Céline'a w literaturze „wiatowej” chcąc nadać znaczenie pogromowej propagandzie największego cynika naszych czasów. Czekamy więc...

Perspektywy przyjaźni

Niedawno młody hitlerowiec, Otto Abetz wygłosił we Francji odczyt p. t. „Młodzież niemiecka a szczęście”. Odczyt właściwie niczym się nie wyróżnił — mówiło się o wierze narodu w Hitlera, o sile, jaką daje młodzieży przynależność do wspólnoty narodowo-socjalistycznej i o innych jeszcze walorach grupy mistycznej, wciąż przeciwstawianej jednostce. Ciekawszy natomiast był obiad po odczycie, który się odbył dla grona zaproszonych gości. Otto Abetz dał wyraz w krótkim przemówieniu, przekonaniu, że jeśli wojna ma wybuchnąć, Francja i Niemcy znajdą się po jednej stronie, walcząc z bliżej nieokreślonym wrogiem.

Złosił Henry de Montherlant u dał, że nie rozumie. — Ależ to zupełnie nie spodoba się Włochom, powiedział on, gdy Abetz usiadł na swoim miejscu.

— Nie, nie, wcale nie to miałem na myśli! — błagalnym głosem odezwał się zrozpaczony Abetz.

Francja czci Balzaca

W tym roku obchodzić będzie Francja setną rocznicę wielkiego pisarza Honoré de Balzaka. Już teraz można powiedzieć, że uroczystości te zapowiadają się wspaniale. Wyjdzie cały szereg książek, omawiających twórczość Balzaka, teatry wystawią poświęcone mu sztuki (m. i. Sacha Guitry), przewidziane są uroczyste akademie w Sorbonie z udziałem prezydenta Republiki, jak też zamierzone jest ustawienie pomnika w/g niedocenionego w swoim czasie projektu Rodina. Comédie-Francaise wystawi prawdopodobnie sztukę o Balzaku w/g słynnej powieści René Benjamina, chociaż mówi się o trudnościach w znalezieniu głównego wykonawcy. Zagrać Balzaka nie jest rzeczą łatwą.

Odpowiedzi Redakcji

W. W. (Lipno-Warsz.): List Pański przekazaliśmy żonie autora do bezpośredniego załatwienia.

Zym. Jar. (W-wa): Prosimy o zapowiedziany artykuł. Za „okienko” dziękujemy. Wykorzystamy w najbliższym czasie. Prosimy o podanie adresu, bo zginął. Serdeczne pozdrowienia.

J. L. (W-wa): Niestety. Artykuł nie pójdzie, gdyż uprzednio zamówiliśmy na ten sam temat. Prenumerata załatwiona. Prosimy o dalszą współpracę.

H. R. (Kielce): List chyba nie pójdzie.

KORESPONDENCJA

Pan A. Łaszowski ogłosił w „Myśli Polskiej” (Nr. 17) artykuł p. t. „Pomówmy o karierowiczach”, będący próbą (osobliwie okrutną) odpowiedzi na stawiane mu zarzuty. Do artykułu tego warto będzie wrócić, nie dla dyskusji z p. Ł. zresztą, lecz dla uwypuklenia jego myślowych rezerw. To przy sposobności. Tu tylko jeden szczegół, dotyczący mnie osobiście. Nie dla tłumaczenia się naturalnie, lecz — znowu — tylko celem przygwoźdzenia metody p. Ł. Uczynmy to krótko, zestawiając cytaty. Pan Ł. usiłuje mianowicie dowieść, że apotoczujemy zmiany przekonau u pisarzy, jeżeli zmiana ta odbywa się w kierunku dla nas korzystnym, natomiast tych, którzy odbywają ewolucję odwrotną, nazywamy karierowiczami i zdrajcami. Dowodem ma być A. Gide, jakoż gdy zgłosił przystąpienie do lewic, przyjęto jego deklarację z żywym uznaniem, gdy zrewidował zaś swoje poglądy (nie na socjalizm n. b. lecz na Z. S. R. R.) nastąpiła na niego nagonka „w stylu Kofka i Boruchowicza z „Sygnałów”. Zaczęto wypominać pisarzowi nihilizm moralny, zaczęto odsądzać go od czci i wiary za to, że osmielił się wylamać z pęt doktryny lizusów i tchórzów stalinowskich” (uw. podkr. moje) („Myśl Polska” 1—1: I. 1935).

A teraz cytaty z artykułów moich: 1) „Szczegół, że Malraux upatrywał realizację swoich tęsknot w Rosji Sowieckiej jest już tylko typowym wypadkiem przyjmowania własnego życia z rzeczywistością; ostatecznie wypadki „musiały” chyba podjąć same korzenie jego wiary” i t. d. („Brzozowski i Marlaux, Sygnały, Nr. 28, kwiecień 1937).

2) „Wystarczy tutaj (scilicet jako przykład niezależności i krytycyzmu) wymienić choćby A. Gide'a, którego ostatnia książka świadczy najlepiej, że — w przeciwieństwie do Feuchtwangera — wybitny ten pisarz właściwą sobie czujność nadal zachował i potrafi uniknąć niewoli najniebezpieczniejszej t. j. niewoli dochowywania wierności sympatiom przez siebie już za skarbionym, że posiada odwagę czynienia rzeczy najtrudniejszej, jaką dla wybitnego pisarza, będącego w tym co Gide'owi, jest zaczynanie od nowa. Dla nas socjalistów sprawa jest jednak prosta i nie wymaga dopiero rewizji. Piętnowaliśmy i piętnujemy zbrodnie, dokonywane przez dyktatorów — i ich kliki” etc.

(Dodatek do „Biuletynu”... 1937)

Zdania ze swoich artykułów o podobnej treści mógłbym mnożyć, ale nie o to przecież idzie. Przytaczam tylko te dwa, ponieważ pierwszy z nich wyjęty jest z artykułu drukowanego w cytowanych przez p. Ł. „Sygnałach”, drugi zaś dotyczy bezpośrednio cytowanego przez p. Ł. — A. Gide'a. Proszę — zestawcie i oszczędźcie.

Insynuacja, popelniona przez pisarza, to brzydka rzecz. Denuncjacja — jeszcze brzydsza. A już insynuacja z denuncjacją... A p. Ł. „klerkiem” się przecież mieni.

Maksymilian Boruchowicz

CZYTAJCIE PRASĘ DEMOKRATYCZNĄ

Zarzuty Pana wynikają raczej z niezrozumienia książki. W sprawie nadesłanego artykułu, odpowiedź w następnym numerze.

Eni. Felieton pójdzie, ale w związku z wyjaśnieniem — ze zmianą nazwiska „bohatera” ewent. z jednoliterową sygnaturą jego nazwiska.

A. F. (W-wa): Odpowiedź w następnym numerze.

M. W. (Kraków): Artykuł otrzymaliśmy. Czy zamieścimy — odpowiedź w nast. numerze.

REDAGUJE KOMITET

[Redakcja i Administracja: Kraków, Plac Zgody 4, I p. tel. 185-18

Czynne: poniedziałek, środa, piątek w godzinach między 11 — 13.

Oddział Redakcyjny w Warszawie: Szczygła 12 m. 7.

Kartoteka rozrachunkowa Nr 62 Kraków 2, „albo-albo”

CENA PRENUMERATY

kwartalnie: zł 1.70, — półrocznie: zł 3.20 — rocznie: zł 6.—

CENA OGŁOSZEŃ

1/2 str. zł 450.— 1/4 str. zł 250.— 1/8 str. zł 130.— 1/16 str. zł 70.— 1/32 str. zł 40.—

Konto P. K. O. Kraków 404 181